

● PROGRAM TV NA TYDZIEŃ ● HOROSKOP JAPONSKI NA CAŁE ŻYCIE
 ● Polska plus Czechosłowacja? ● „Relacje” dla alkoholików? ● Afera z zupą ● Niezabitowska kontra Urban ● Srebrny łup ● Równanie chłopa z ziemią ● Zesłańcy ● Spowiedź NKWD-zisty

TYGODNIK
 WSCHODNI

PL ISSN 0660-8830

Biблиотека
 UMCS
 LUBLIN

Relacje

LUBLIN, 08-14.02.1990R.

NR 6 (56)

CENA 800 ZŁ

„ODDAJĘ GŁOS PANI MINISTER”

Wiesław Horabik

POPATRZ, za komuny to wszystko chodziło takie nadęte i nieprzystępne, a teraz to nawet się uśmiechają i są uprzejmi.

Oto fragment rozmowy dwóch szatniarzy z Urzędu Rady Ministrów przy Krakowskim Przedmieściu, tuż przed rozpoczęciem konferencji prasowej rzecznika rządu, pani Małgorzaty Niezabitowskiej.

Nowy rząd szybko zrezygnował ze sławnej już salki „Interpressu”, w której minister Urban toczył swoje historyczne „pojedynki” z przedstawicielami światowych mass mediów. Nowy rząd musiał mieć wszystko nowe: nowe twarze, nowy styl, nowe słownictwo, nową kombatancką przeszłość.

Kiedy Małgorzata Niezabitowska została mianowana rzecznikiem prasowym rządu, wszystkie czołowe gazety świata zamieściły tę samą fotografię sztywnej, uśmiechniętej dziewczyny, z kaskadą jasnych włosów okalających drobną twarz. Zamiast ponurych, aroganckich gęb zawodowych aparaczyków, jakby nagle słońce zaświeciło na horyzoncie politycznego półmroku. (Komunistom zawsze zarzucano brak luzu). Ryzyko okazało się jednak, że nowa ekipa, której „nie wypada krytykować”, mieć będzie dwóch chłopców do bicia: politykę informacyjną i ministra Kuronia. Z właściwą Polakom przewrotnością, nie szargając „świętych”, można i trzeba jednak przyłożyć komuś.

Dokończenie na str. 11



Efekt melodramy, czyli lubelska publiczność — str. 8—9.

Repr. Waldemar Stepień

FEDERACJA Z CZECHOSŁOWACJĄ I NIE TYLKO

Mieczysław Wioliczko

WDZIESIĄTYM dniu od zaprzysiężenia, a na trzecim swoim posiedzeniu Rząd RP 10 października 1939 r. debatował w Paryżu nad określeniem celów „wojny polskiej” i rozpatrywał kwestię nowego układu stosunków Rzeczypospolitej w przyszłej wyzwolonej Europie. Protokół posiedzenia zanotował, że premier gen. Władysław Sikorski jako jeden z celów widział „konieczność nie tylko rozbięcia Niemiec, lecz również utworzenia w Centralnej Europie ośrodka z Polską na czele, który mógłby być przeciwwagą i Niemcom, i Rosji”. Tak narodziła się idea, motywowana koniecznością ułożenia nowych stosunków w Europie środkowej.

ROZMOWY o urzeczywistnieniu tej idei podjął gen. Sikorski z Eduardem Benešem, emigracyjnym prezydentem z Czechosłowacji, w październiku 1939 r., tj. w czasie, kiedy emigracja czeska i słowacka zabiegały o utworzenie na Zachodzie swojej reprezentacji, która od 20 grudnia 1939 r. przybrała nazwę: „Czechosłowacki Komitet Narodowy we Francji”.

Trzeba zwrócić uwagę na fakt, że Sikorski był premierem rządu państwa uznanego na arenie międzynarodowej i Naczelnym Wodzem jego sił zbrojnych, zaś Beneš politykiem, który na znak protestu wobec układu w Monachium złożył urząd, opuścił kraj, przebywał początkowo w USA i przyjechał był do Francji, będącej współtwórcą haniebnego aktu monachijskiego i gwarantem integralności resztek terytorial-

nych Republiki Czechosłowackiej, którą i fak Niemcy zagrabili w połowie marca 1939 r. Politycy francuscy utrudniali więc konsolidację emigracji Czechów i Słowaków do tego stopnia, że emigracyjny rząd czechosłowacki powstał dopiero w lipcu 1940 r., ale w Londynie. Stąd stanowisko Sikorskiego, de facto uznające pozycję polityczną Beneša, nie przyniosło ani aplauzu, ani sympatii polskiemu premierowi ze strony francuskich gospodarzy naszego rządu. To jednak margines sprawy, choć o wymowie moralnej i politycznej...

Dalsze rozmowy polsko-czechosłowackie kontynuowano w Londynie (14—20 listopada) w składzie: E. Beneš i M. Hodža (Słowak, antagonista Beneša i polityk o orientacji propolskiej), gen. W. Sikorski i A. Zaleski, minister spraw zagranicznych; prowadził je potem E. Raczyński (w lutym 1940 r.) z E. Benešem i Hodżą.

Uznano wzajemną potrzebę ściślejszej współpracy i określono możliwość zorganizowania związku państw w Europie środkowo-południowo-wschodniej po wojnie. Wszystko to potem Raczyński określił jako „rozmowy informacyjne”, ale czy tylko takimi były?

W pierwszej oficjalnej deklaracji rząd polski 18 grudnia 1939 r. stwierdził w tej sprawie między innymi: „W ramach nowej organizacji politycznej Europy środkowowschodniej jedną z głównych podstaw stać się musi solidny zespół państw słowiańskich. Nowa organizacja tej części Europy powinna stworzyć między Bałtykiem, Morzem Czarnym i Adriatykiem

zwarte i zgodne współdziałanie państw, odierać napór Niemiec na wschód i oddzielać Niemcy od Rosji”.

Rząd wskazywał więc expressis verbis w pierwszym rządzie na Czechosłowację (Słowianie) jako partnera w „zespole”, a potem dopiero widział państwa „miedzymorza”. Z reprezentantem pierwszego z nich, posłem litewskim w Londynie V. Klimasem, ambasador Raczyński podjął rozmowy w tej sprawie już w listopadzie 1939 r., i to wtedy, gdy Litwa zawarła (10 października) „układ o przyjaźni i wzajemnej pomocy” z ZSRR, „gwarantowany” 30-tysięcznym garnizonem Armii Czerwonej, stacjonującym na jej terytorium... Czy ten polski wysiłek dyplomatyczny o zachowanie suwerenności Litwy ktoś, prócz piszącego te słowa, pamięta?

Tę akcję dyplomatyczną rządu polskiego wokół, powiedzmy skrótnie, bloku państw miedzymorza gen. Sikorski przedstawił politykom brytyjskim (N. Chamberlain i E. Halifax), którzy uznali koncepcję ściślejszego związku Polski i Czechosłowacji za dobry punkt wyjścia, przywołując potem polskie i czeskie propozycje tak sugestywnie, że niektórzy historycy skłonni są Brytyjczykom przyznać tę inicjatywę, tym bardziej, że w następnych latach W. Churchill uczynił z kwestii owego bloku „konia trojańskiego” imperialnych interesów brytyjskich w tej części Europy. Ale nie uprzedzajmy faktów.

Na razie rząd polski nadał całej sprawie konieczną „siłę przebicia”, czego wyrazem okólnik ministra A.

Ciąg dalszy na str. 6

relacje

ZE ŚWIATA

● Podczas Międzynarodowego Forum Gospodarczego w Davos (Szwajcaria) prezydent Wojciech Jaruzelski przedstawił propozycję Polski dotyczącą światowej pomocy dla naszego kraju. „Oczekujemy dopływu drobnego i korporacyjnego kapitału” — powiedział m.in. prezydent.

● Podczas wizyty w Davos Wojciech Jaruzelski spotkał się z byłymi żołnierzami II Dywizji Strzelców Pieszych.

● Prezydent Republiki Południowej Afryki, Frederik de Klerk, zapowiedział uwolnienie wszystkich więźniów politycznych (w tym więzionego od 30 lat, przywódcy Afrykańskiego Kongresu Narodowego Nelsona Mandeli); legalizację organizacji walczących z apartheidem i zniesienie kary śmierci. Zachodnie agencje oceniają, że jest to początek końca segregacji rasowej w RPA.

● George Bush w „Oroczniku o stanie państwa” zaproponował, aby obniżyć liczbę wojsk USA i ZSRR w Europie do 225 tys. żołnierzy.

● General Szomron, szef sztabu armii izraelskiej, oświadczył, że liczba doradców wojskowych Związku Radzieckiego w Syrii zmniejszyła się z 1,5 tys. do jednego tysiąca.

● W Rumunii władzę przejęła Rada Jedności Narodowej, w której reprezentowanych jest 30 ugrupowań politycznych, m.in. chłopi, liberałowie i socjaldemokraci. Rządzący dotychczas Front Ocalenia Narodowego przekształcił się w partię. Jego 11-osobowa Rada przekształciła się w ciało kierownicze tej partii.

● Premier NRD, Hans Modrow, przedstawił 4-punktowy plan zjednoczenia obu państw niemieckich, który przewiduje m.in. militarną neutralność przyszłych Niemiec. Kanclerz RFN, Helmut Kohl, odrzucił taką możliwość, opowiadając się za rokowaniami zjednoczeniowymi w oparciu o przedstawiony wcześniej 10-punktowy plan.

● Michaił Gorbaczow stwierdził, iż zjednoczenie Niemiec jest możliwe w ramach zjednoczenia Europy.

● Na XIV Nadzwyczajnym Zjeździe Bułgarskiej Partii Komunistycznej

wybrano nowego przewodniczącego jej Rady Najwyższej. Został nim Aleksander Lilov, długoletni czołowy ideolog BPK, odsunięty następnie przez Ziłkowa.

● Nowym premierem Bułgarii został Andrej Łukanow. Opozycja odrzuciła możliwość wejścia do jego rządu, nazywając tę propozycję trickiem komunistycznym.

● 17 tys. żołnierzy radzieckich panuje nad sytuacją w Baku. Nadal jednak trwa blokada Armenii.

● Jak dotąd, nie osiągnięto kompromisu w rokowaniach pokojowych Ormian z Azerami. Zgodzono się jedynie na wymianę więźniów.

● Przed plenum KC KPZR w Moskwie odbyły się liczne wiece i demonstracje. Żądano przyspieszenia reform i zniesienia monopolu partii. Wznoszono hasło: „Nomenklatura, pamiętaj o Rumuniach”.

● Borys Jelcyn stwierdził, że napięcie w Związku Radzieckim osiągnęło punkt krytyczny.

● Finlandia udzieli Polsce w I kwartale br. pomocy żywnościowej w wysokości 7,5 mln dolarów.

● Były przywódca wschodniemieckich komunistów, Erich Honecker, został zwolniony z więzienia. Zamiesz-

kał kątem w domu niemieckiego pasztorca.

● W jednym z wystąpień telewizyjnych Fidel Castro stwierdził, że: „Partia będzie rządzić po wsze czasy. Zniknięcia partii nie przewidywał ani Marks, ani Engels, ani Lenin”.

● Komuniści utracili większość w czeskosłowackim parlamencie.

● Ambasadorem Czechosłowacji w Moskwie został mianowany Rudolf Slansky, syn, skazanego na śmierć i zamordowanego na polecenie Stalina w 1952 roku, sekretarza generalnego KPCZ.

● W Moskwie tworzą się tasiecowe kolejki przed restauracją McDonald. Serwowane tam hamburgery sprzedawane są po 4 ruble. Po trzech dniach handlu zaczęto reglamentować sprzedaż amerykańskich przysmaków, bo pojawili się spekulanci.

● Po wskazówce nie jeździ się już do Moskwy. Prezydent Czechosłowacji, Vaclav Havel, przełożył termin wizyty w Związku Radzieckim. Najpierw uda się do Stanów Zjednoczonych.

● Wiceminister spraw zagranicznych Albanii, Socrat Plaka, nazwał swój kraj „najspokojniejszym” państwem europejskim.

relacje

Z KRAJU

● Na konferencji prasowej rzecznik rządu, Małgorzata Niezabitowska, poinformowała, że liczba bezrobotnych w Polsce wzrosła z 9 tys. do 56 tys. osób. W czwartym kwartale 1989 r. brakowało 254 tys. pracowników. 31 stycznia br. już tylko 35 tys. Najtrudniejsza sytuacja występuje w woj. konińskim, gdzie na jednego bezrobotnego przypada 0,03 miejsca pracy.

● Utrzymuje się stały kurs walut. Złotówka nadal jest wewnętrznie wymienialna. Polacy sprzedają codziennie 1,2 mln dolarów.

● Po dwóch przebytych operacjach stan zdrowia prymasa Polski kardynała Józefa Glempa poprawił się.

● Minister Aleksander Hall spotkał się z przedstawicielami mniejszości

narodowych w Polsce. Podczas rozmów podkreślono konieczność wprowadzenia ustawy dotyczącej tych mniejszości.

● „Solidarność” Rzemiosła chce przejąć od Poczty dostarczanie rent i emerytur do domów. Zobowiązuje się jednocześnie pobierać za tę usługę opłatę o połowę mniejszą niż Poczta. Dodatkowo — jedną trzecią uzyskanych z tego tytułu dochodów pragnie przeznaczyć na fundusz ministra Kuronia. Doręczycielami mieliby być bezrobotni.

● Z badań Centrum Badania Opinii Publicznej wynika, że 91 proc. ankietowanych aprobowało w połowie stycznia działalność premiera Mazowieckiego.

● O 50 proc. zdrożały znowu ciągniki produkowane przez „Ursus”.

● Na stu mieszkańcach wsi przypadają 2 telefony, a 10 tys. wsi pozostaje nadal bez łączności telefonicznej.

● W Warszawie zostaje skradzionych średnio 19 samochodów dziennie.

● Do 15 lutego budynki byłej PZPR przejdą w ręce administracji państwowej, która ma rozdzielić je zgodnie ze społecznymi oczekiwaniami.

● W Łodzi pojawiły się fałszywe banknoty 50- i 200-tysięczne. Te ostatnie musiały być podrobione perfekcyjnie, skoro fałszerstwo odkryto dopiero po sprawdzeniu banknotów w specjalnym urządzeniu.

● W trakcie konferencji prasowej w północnej Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych Lech Wałęsa powiedział m.in.: „Chciałem, żeby powstała nowa lewica, myślałem, że Kwaśniewski i inni odetną się od PZPR i nie będą się przemalowywać. Nie należy im się żaden majątek, wraz z nim biorą na siebie odpowiedzialność za morderstwa. Więcej i gorzej powiedzieć nie mogę”. Z wypowiedzią tą polemizował nowy lider Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej, Aleksander Kwaśniewski, twierdząc, że taka postawa nie służy rozwojowi pluralizmu politycznego.

● Powstał Parlamentarny Klub Lewicy Demokratycznej zrzeszający by-

łych członków PZPR. Szefem Klubu jest, jak dawniej, tyle że dziś bezpartyjny, Marian Orzechowski.

● Po oświadczeniu Mieczysława Rakowskiego w Sali Kongresowej, że nie będzie się ubiegał o przywództwo w nowej partii, siła oklasków, mierzona na logarytmicznej skali pomiarowej, dała wynik 108,43. Dotychczasowy rekord saii należy do murzyńskiej opery „Porgy and Bess” — podała „Gazeta Wyborcza”.

● Obniżona została do 20 proc. stopa oprocentowania kredytu refinansowego NBP. W styczniu wynosiła ona 36 proc.

● W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych trwa reorganizacja. Do tej pory przekazano MO 150 pomieszczeń o ponad 300 samochodów należących do SB. Ponad 1000 pracowników Służby Bezpieczeństwa po trzymiesięcznym przeszkoleniu zostanie skierowanych do pracy w milicji. Obecnie SB liczy 3542 pracowników.

● Na marzec br. zaplanowana jest wizyta premiera Tadeusza Mazowieckiego w Waszyngtonie.

(De)

ZOSTAWMY KOBIETY, POROZMAWIAJMY O PIENIĄDZACH

GDYBY sporządzić listę tego, co zawsze było przedmiotem pożądania, to medalowe miejsca nieodmiennie zajęłyby: władza, kobiety i pieniądze. Władze proponują na razie zostawić na boku. Jak wydaje się, leży ona na ulicy i dopiero kwietniowe wybory samorządowe mogą ją podnieść. Zostają zatem: kobiety i pieniądze. Przy tej alternatywie prymat należy się raczej pieniądзом. Kobiet pożąda bowiem — co najwyżej — połowa zamieszkującej glob populacji, a chuć pieniądza dręczy wszystkich. „Jest tylko jedna grupa, która pożąda pieniędzy bardziej niż bogaci — powiedział Oskar Wilde. — Są to biedacy”. I to także jest dowód powyższej tezy, gdyż kobiet — jak wiadomo — Oskar Wilde zbyt nie lubił.

Czy jednak trzeba przeciwstawiać kobiety i pieniądze? Czy nie mogą być one — przynajmniej jako ideał — podobne? Wszak popularne kryterium estetyczne głosi, iż: „piękna kobieta to dużo kobiety”. Czy z pieniądzem nie jest tak samo? Czyż dobry pieniądz to nie jest taki pieniądz, którego mamy dużo? Tak przynajmniej twierdził pewien były minister. A że przy tym był milionerem, wydawało się, że ma rację.

Racja jednostkowa nie musi być jednak racją społeczną. Z sytuacji, w której pieniądza jest dużo, cieszyć się może ktoś, kto ma do niego — nie warto już dzisiaj dociekać dlaczego — łatwy dostęp. Nie może to być jednak radość powszechna. Podstawowe twierdzenie monetaryzmu głosi, że jeśli ilość pieniądza w obiegu powiększa się szybciej niż produkcja, musi nastąpić inflacja. A wtedy wprawdzie i biedaczkowie mają pieniędzy jak lodu, ale — przy

rosnących cenach — jak lód topnieją im one w rękach.

Od miesiąca wkroczyliśmy w inny ideał dobroci pieniędzy. Teraz nie chcemy już, aby — jak owej blondyny z piosenki śpiewanej przez Wiesława Michnikowskiego — było go dużo, lecz chcemy, aby był coś wart. Stąd przyspieszony, i bolesny, kurs ekonomii. Kurs, który przypomina, że istnieje coś takiego jak: stopa procentowa, podatki, cła, ograniczenia wydatków budżetowych czy nawet bezrobocie.

Z programu Balcerowicza, a chyba każdy z czytelników domyśla się, że o nim tu mówię, wybiera się na ogół przedstawiony wyżej motyw tzw. „zmniejszenia podaży pieniądza”. Prawda, że jest to część zasadnicza tego programu. Ograniczanie się jednak do niej — obraz fałszuje. Sprawdza społeczny wybór (tak, tak, skoro społeczeństwo nie protestuje, znaczy to, iż jest to jego wybór) do decyzji tego pana, który ożenił się z kobietą niedużą. Taką wybrał, gdyż zawsze wybierał mniejsze zło.

Ci, którzy mówią o mniejszym złu, ubierają szaty umiarkowanych zwolenników programu Balcerowicza. W rzeczywistości są jego kiepsko ukrytymi przeciwnikami. W chwili później dodają bowiem, że wysokie podatki, ograniczające wzrost płac, likwidują bodźce ekonomiczne i uniemożliwiają szybki wzrost produkcji. I zaraz — jak z rękawa — syją przykłady, ile to zakładów rzemieślniczych zamknęło swe podwoje, ilu to rolników oświadczyło, że zaprzestanie produkcji, „bo im się nie oplaca”, ilu milicjantów porzuciło służbę ze względu na niskie zarobki.

Rozmowanie to wydaje się na pierwszy rzut oka poprawne. Brakuje w nim jednak — białostka — jednej oczywistej prawdy. Tej mianowicie, że postępowaniem ludzkim w dużo większym stopniu kierują bodźce negatywne niż pozytywne. Bardziej kij, niż marchewka. A najtwardszym kijem jest kij ekonomiczny.

W rozmowaniu tych, co obawiają się „antyprodukcyjnych konsekwencji planu Balcerowicza”, brak zatem odpowiedzi na pytanie, co będą robili i a czego będą żyli rzemieślnicy, rolnicy czy milicjanci, którzy „się nie oplaca”. A byłaby to odpowiedź ciekawa, zwłaszcza, że obok pojawia się coraz więcej takich, którym jakoś się oplaca, którzy odpowiadają na trudniejsze warunki ekonomiczne większym wysiłkiem, lepszą organizacją pracy, lepszym dostosowaniem do zgłaszanego na rynku popytu.

Decyzje „ja zamykam — mnie się nie oplaca” czasem mają faktyczne uzasadnienie. I wtedy są to decyzje słuszne. Widocznie ilość producentów w danej dziedzinie jest zbyt duża i dobrze, że część z nich przeniesie się do innych gałęzi gospodarki. Częściej jednak — tak przynajmniej sądzę — owe decyzje wynikają z przesvědzenia, że ostrość programu Balcerowicza szybko się stepi. Przecież już wielu z impetem zabierało się do porządkowania polskiej gospodarki i po miesiącu lub dwóch — jak to się mówi — schodziło z nich powietrze. A zatem nie ma się co przejmować, tylko trzeba czekać, aż „im” przejdzie.

Obawiam się jednak, że nie przejdzie. A to dlatego, że chyba rzeczywiście większość społeczeństwa woli ciężką pracę, trudny pieniądz i łatwo dostępny towar, niż pracę udawaną i opłacaną niby-pieniądzem. Ci ludzie wierzą, że obecnemu rządowi się uda. I chyba się nie mylą, bo Balcerowicz jest z Pomorza. A Pomorzaki to naród tak twardy i tak konsekwentny, że w porównaniu z nimi uparte przejęcie mrówki wygląda jak fruwanie z kwiatka na kwiatek panienki-motyle.

Emzet

Czy „Relacje” są pismem dla alkoholików?

21 STYCZNIA br. w Wojewódzkim Domu Kultury w Lublinie odbyło się spotkanie literatów poświęcone minioniej dekadzie życia literackiego Lubelszczyzny. Nie można powiedzieć, że skupiło autorów reprezentujących całe, zróżnicowane środowisko; z uwagi na wagę poruszanych spraw, warto je jednak odnotować.

Waldemar Michalski przedstawił panoramę najmłodszej i zarazem najciekawszej poezji. Otworzyło ją nazwisko Waldemara Żelaznego („Pokój z zabawkami”), poety znanego bardziej w Warszawie niż w Lublinie, a odbierającego tutaj, zwłaszcza przez miejscowe (chyba wciąż jeszcze aktualne) władze, negatywnie. Książka, za którą Żelazny otrzymał nagrodę im. St. Piętała, miała podobno być atakiem na tęż władzę, milicję itd. Dalej następowały nazwiska Bohdana Zadury („Starzy znajomi”), Adama Kulika („Piołunny raj”), Edy Ostrowskiej („Małmazja” — Nagroda Wypiańskiego), Waldemara Drasa („Wyspa kij”), Urszuli Jaros („Stracone ogrody”), Wacława Oszańczyka, Andrzeja Wiercińskiego (nagroda im. K. Iłakowiczówny) i Elżbiety Kuc. Nazwisko Dominika Opolskiego padło z okazji przypomnienia drugiej sesji zorganizowanej w UMCS przez p. Eugenię Łochową nt. dokonań lubelskiego środowiska literackiego. Krzysztofa Paczuckiego przemilczano.

Prozę reprezentowali: Barbara Jędrzejewska („Świadek dojrzałości”), Adam Kulik („Lot”), Jacek Dąbala, Wojciech Próchniewicz, Zabrakło Zbigniewa Włodzimierza Fronczka.

Dyskusję poprowadził Wiesław Kalabun.

Zbigniew Strzałkowski: — Niestety, Lublin jest to, że przychodzi młodzież, wydają tu pierwsze książki i odchodzą. Niewiele zostaje z korzyścią dla miasta. De facto istnieją oddziały dwóch związków literatów, ale w obu przypadkach kontakt z najmłodszymi piszącymi jest bardzo ograniczony.

Dominik Opolski: — Nie ma życia umysłowego, literackiego. Wśród młodych piszących największe zainteresowanie budzi pieniądź.

Z.S.: — Perspektywa rozwoju literatury jawi się jako bardzo smutna, wręcz przerażająca. Jedynym pismem literackim w Lublinie jest „Akcent”, w którym dla debiutantów nie ma w zasadzie miejsca. „Relacje” przyjęły inną, wydumaną koncepcję, jako pismo literackie nie liczą się zupełnie. Literatura jest zjawiskiem hermetycznym, elitarnym, coś niecoś w Lublinie zrobiliśmy, zapewne można było więcej, ale dziś pojawia się pytanie wręcz dramatyczne: kto, w jaki sposób może pomóc najmłodszym?

Józef Zięba: — Działania wyrosłe w starych warunkach dziś nie mają racji bytu; nie wiem, czy utrzyma się „Akcent”. Miałem duże nadzieje związane z „Relacjami”, być może przez rok, z rozpędu będą wychodziły. Budujemy sobie konia trojańskiego pod nazwą teatr, który zeżre wszystkie środki przeznaczone na kulturę, jedynie, co można zrobić, to zamrozić prace na 10 lat. Przypuszczam, że Wydawnictwo Lubelskie przestanie istnieć, lubelski KAW także. Przypuszczalnie pojawi się nowy dziennik i — jeżeli będzie dobrze redagowany — „wykosi” pozostałe pisma, „Relacje” — dla kogo są redagowane? Dla kombatanów? Alkoholików? [Chodziło o przelicznik ceny gazety na półtora jajka i 17 gramów wódki — przyp. A.K.]. Pytanie: czy stać dziś Lublin na tygodnik literacki? W tym roku nie, w przyszłym też nie. „Akcent” jest pismem eklektycznym, to taki koszyk na śmieci. Ma za długi cykl produkcyjny jak na pismo literackie, może spełniać funkcję pewnego rodzaju archiwum... Jeśli pismo ma w środowisku znaczyć, musi nawiązać ze środowiskiem kontakt, musi je inspirować.

Waldemar Michalski: — „Akcent” nie jest pismem regionalnym.

J.Z.: — Jeżeli nie przyhamujemy „konia trojańskiego”, muzea, domy kultury i inne przedsięwzięcia kulturalne widzę w bardzo złej perspektywie. Ten rok będzie przejściowy, w przyszłym wieszczą trzęsienie ziemi.

Stanisław Kieronski, dyrektor WDK: — Pomysł dzisiejszego spotkania nie jest czysto kurtuazyjny; wychodząc z nim do panów, zastanawialiśmy się, jak pomóc środowisku. WDK ma skromne możliwości, ale posiadamy skład komputerowy, sądzę, że mogliśmy zrealizować kilka tomików debiutanckich rocznie, w małych nakła-

dach. WDK wydaje „Informator kulturalny”, może i on mógłby być miejscem debiutów? Jeżeli środowisko potrzebuje miejsca spotkań, możemy raz w tygodniu udostępnić kawiarnię [bardzo ciepło urządzone lokal z bogatą kolekcją wiekowych samowarów — przyp. A.K.].

Leszek Gzella: — Prowincja-noc, hasło bardzo dobrze nam znane. Ciągłe zderzamy się z polityką, ponieważ sowietyzacja kultury jest głęboko wtłoczona w prowincję. Zawsze dzielono nas przez politykę. Ostatnie dziesięciolecie trzeba by widzieć tak: istniały określone sytuacje polityczne i na nie odpowiadał pisarz. Można zobaczyć, w jakiej mierze literatura odpowiada atmosferze, kto jest wokół nas. „Akcent” istniał obok i dlatego przetrwał, że był obojętny. Nie można ciągle mówić o integracji. W Lublinie nie ma twórczej inspiracji, którą powinien zapoczątkować jakiś mecenas, dysponent, manager, może duszpasterstwo, na pewno ZLP — ale Związek przez swoje kompromitujące działania

LITERACKI LUBLIN 1980-90

Adam W. Kulik

nie wzbudza zaufania. Poszczególne gazety powinny być inspirujące. Środowiska są różne, ale inspiracja jest konieczna. Nie ma otwarcia prasy katolickiej na poezję, nie przeceniałbym konkursów poetyckich, które mogą być inspirujące, ale mają tam miejsce i zakulisowe machinacje typu: „dać nagrodę księdzu”. Nie jestem takim pesymistą jak p. Zięba, na jednym tomiku nie można zarobić, ale dobry wydawca nie może stracić na książce, bo jest to towar.

J.Z.: — Żle zostałem zrozumiany, pragnęłbym jedynie powiedzieć, że kończy się epoka dotychczasowego mecenatu i należy szukać rozwiązań innych.

Z.S.: — Dziś środowisko literackie jakby wyrównało się ilościowo z plastycznym, które dotąd wiodło prym w Lublinie. Kultura musi być sponsorowana, na Zachodzie też. Zauważcie: przy okrągłym stole ani jedna, ani druga strona nie użyła słowa kultura. Pozwolono tylko Szczepańskiemu wypowiedzieć się. Czy nie byłoby dobrze spotkać się na poziomie prezesów stowarzyszeń twórczych i uzgodnić działania, nie bacząc na animozje i podziały, których na dobrą sprawę w Lublinie nie ma, ani nie czekając na pozycję władz? Kiedy dojdzie do wyborów, środowisko musi zabezpieczyć swoje interesy!

W.M.: — Inicjując „Akcent”, kierowaliśmy się potrzebą inspiracji działań krytyczno-literackich. Bez zdrowej krytyki środowisko będzie kaleką, pro-wincjonalne. Mamy dwie bardzo dobre polonistki na dwóch uniwersytetach, przedstawicieli których zazdroścą nam inne ośrodki — weźmy Irenę Sławińską, Jerzego Święcha. Kwartałnik został powołany w czasach podziału jako reprezentacja młodych humanistów budujących nowe forum wypowiedzi krytyczno-literackiej, jest otwarty jako trybuna — przecież przez cały czas toczy się walka pomiędzy nurtem eksperymentalnym, a tradycyjno-skamandryckim. Uważaliśmy, że prowincja jest skarbem, nie nieszczęściem. Dziś w świecie kultura broni się przeciw unifikacji, ogłupianiu przez telewizję — w prowincji jest skarb odrębności! Jesteśmy różni w bogactwie.

Grzegorz Filip: — Nie kłómy się na temat „Akcentu” i innych pism ukazujących się w latach 80. — wszystkie były sponsorowane. Inna rzecz, że każde wytyczało inne granice ustępstw. W pierwszej połowie lat 80. na UMCS było dużo inicjatyw niezależnych — nikt nie chciał iść do „Sztandar...”, „Kamery”. W 1986 pojawiła się grupa poetycka „Kresy” — 6 poetów, próbowaliśmy powołać pismo o tej samej nazwie, nie wyszło, grupa rozpadła się. W 1987 założyłem pismo studenckie „Próba”, publikujące przede wszystkim debiutantów (wiersze, proza, przekłady, krytyka literacka, publicystyka). Na KUL ukazuje się 16-stronicowe pismo „Chaitura” — wybitnie autorskie, współpracujemy z sobą. Od października 1989 pracujemy

nad 15-arkuszowym kwartałnikiem literackim „Kresy”, my, tzn. Andrzej Niewiadomski (poeta, krytyk), Arkadiusz Baglajewski (krytyka lit.), Jarosław Adamowicz. Pismo będzie zajmowało się zjawiskami marginalnymi, kresowymi, nie tylko odnoszącymi się do Wschodu, rozumiemy to pojęcie jako marginesy, peryferie zjawisk literackich. Chcemy promować młodych.

Z.S.: — Czas po temu, żeby zrobić rozliczenie literackie czasu wojennego, sporo osób publikowało w podziemiu, nie wszystkie nazwiska ujawniono do dziś. Ukazało się dużo poezji okolicznościowej, piosenek, może mógłby tym zająć się „Akcent”?

L.G.: — W mieście ukazują się kilkanaście pism już zarejestrowanych np. „Lotnictwo”, „Jazz”. W różnym stopniu orientują się na sprawy literackie, ale one są.

Adam Kulik: — Parę słów na temat budzących tyle kontrowersji „Relacji”. Nie ma w nich literatury, ale czy być musi? W mieście może zupełnie dobrze wychodzić tygodnik literacki i poświęcony reportażowi. Proces zyskiwania czytelnika przez nowy tytuł trwa 2—3 lata, koncepcja redaktora

naczelnego okazała się na tyle atrakcyjna, że pismo zostało przez czytelnika zaakceptowane już po niespełna roku — na 20 000 nakładu, 20 proc. zwrotów. Teraz to musi się zmienić, żyjemy przecież w czasach surrealizmu gospodarczego. „Relacje” nie odzegnały się od literatury całkowicie — niemal od początku ukazują się w nich reportaże literackie Henryka Makarskiego, Józefa Zięby i innych autorów.

Wiesław Kalabun: — Być może w przyszłości uda się powołać lokalne wydawnictwo w oparciu o bazę poligraficzną WDK? Tyle mówiono o krytyce literackiej — może warto pokusić się o klub krytyki literackiej? Do nas przyjeżdżają animatorzy kultury z całej Polski, mogliśmybyśmy sprzedawać wydawnictwa UMCS lub wydawnictwa innych środowisk. W marcu WDK planuje zorganizowanie wystawy całego literackiego dorobku Lubelszczyzny (województwa: białostockie, chełmskie, lubelskie i zamojskie) minionego dziesięciolecia — proszę o zachęcenie wszystkich autorów mieszkających na Lubelszczyźnie do przysyłania książek wydanych w latach 1980—90, na adres WDK w Lublinie.

CZYTELNIKOWI należy się parę słów komentarza. Jeżeli Józef Zięba nie wie, do kogo adresowane są „Relacje”, pragnę go utwierdzić w jego przekonaniu: istotnie, jest to pismo dla alkoholików. Każdy pijak, wystarczy, że odwróci kartę tytułową albo nawet zatrzyma się na pierwszej stronie, i już wie.

Doprawdy, nie wiem, skąd pretensje do Franciszka Płatkowskiego — przecież gazety nikomu nie ukradł. „Kamery” zarządził Marek Adam Jaworski i musiało to komuś odpowiadać, skoro z rąk Mieczysława Rakowskiego otrzymał za zniszczenie pisma wysokie odznaczenie państwowe — popularny „chlebak”. (Czy może dziwić, że ludzie za długoletnią porządną pracę odmawiają przyjmowania odznaczeń?)

Jest jeszcze parę interesujących faktów: od kilkunastu lat, jeżeli coś dzieje się w środowisku literackim Lublina, można być pewnym, że stoją za tym młodzi pisarze. To Stanisław Królak zainicjował pierwszą serię lubelskich prezentacji poetyckich, która pod ręką Bogusława Wróblewskiego rozrosła się — z sukcesem — o jeszcze dwie. Dwudziestokilkuletni Bogusław Wróblewski wydusił na władzach zgodę na powstanie „Akcentu”, również dzisiaj dwudziestokilkuletni poeci zakładają 15-arkuszowe „Kresy”. Trzydziestoparoletni autorzy dzięki staraniom Stanisława Zurka wydał serię książek sfinansowanych przez Poradnię Młodzieżową w Lublinie. Pomijam tomiki wydane przez oddział ZLP (Tadeusza Jasińskiego) jako zjawisko czysto koniunkturalne. Działający w tym samym czasie w tych samych warunkach seniorzy mieli „Kamery” (jeszcze dobrą za czasów Marii Bechcysz-Rudnickiej), co później z pismem się stało, wiemy. Jakże wnioski? Ano jakie...

LISTY

Polska tragedia, czyli jak zarobić na dramacie katyńskim

Są w tym narodzie sprawy święte, rany, których nigdy nie już nie zagoi. A na dodatek przez pięćdziesiąt niemal lat te niezabliźnione rany starannie okrywano zasłoną zapomnienia. Wszystko to prawda i nigdy nie należy o niej zapomnieć. Wszystko to prawda i należy się cieszyć, że wreszcie, po tylu latach wszyscy, wszędzie i to głośno próbują dociec: kiedy? kto? jak? dlaczego? po co? Pada szereg różnych odpowiedzi. Jedni zgadzają się z drugimi w tym względzie, drudzy z trzecimi w tym. Jesteście inni ciągle czekają na odtajnienie dalszych dokumentów w tej sprawie. A my przypatrujemy się temu wszystkiemu.

Oczywiście prawem i świętym obowiązkiem każdego, kto zabiera głos w tej ważnej dla naszego narodu kwestii, jest gruntowna i dokładna analiza wszystkich dostępnych w tej sprawie faktów. Dokładne sprawdzenie wszystkich źródeł, z których mogą popłynąć nowe, cenne informacje. Dobra i rzetelna analiza wymaga wiele czasu i dużo pracy.

Trudno byłoby nie zgodzić się z tym wszystkim. Jeśli żądamy prawdy, całej prawdy i tylko prawdy, to jedyną drogą, która może nas do niej doprowadzić, jest właśnie ta, o której wspominałem wyżej. Tylko sprawnie przeprowadzona, dokładna analiza, dokonana przez znających się na rzeczy historyków, czy politologów, może nam prawdę w całej pełni ukazać.

Argumentem dodatkowym, po twierdzącym konieczność ostatecznego wyjaśnienia tej sprawy, argumentem „pozawarsztatowym” jest wielka potrzeba na rzetelne opracowanie tematu, jaka się zrodziła w całym narodzie. Zwłaszcza, że podlega ją jeszcze ciągle i ciągle odkrywanie coraz to nowych miejsc kaźni.

Zwłaszcza, że żyją jeszcze synowie i córki tych, którzy „zaginęli” w czasie wojny czy też zaraz po niej. Czasami świadkowie owych tragicznych wydarzeń.

Ostatnio jesteśmy świadkami pojawiania się coraz to nowych opracowań poświęconych temu tematowi, że wymienię tutaj kilka, które dostrzegłem w ciągu ostatnich tygodni: J.K. Zawodny „Katyń” (Lublin — Paryż); „Lista katyńska”, opracował: A. Moszyński (przedruk za wydawnictwem Gryf z Londynu), czy dwa tomy (I tom — „Lista ofiar i zaginionych”, II tom — „Tło historyczne, fakty, dokumenty”) książki napisanej przez A. L. Szcześniaka (wydawnictwo Alfa). A nawet „co lepsze” fragmenty zaczęto drukować w niektórych miesięcznikach (np. „Literatura”) czy nawet w piątkowo-niedzielnym wydaniu dzienników (np. „Kurier Lubelski”), bądź to ograniczając się do kolejnego przedrukowywania pewnych opisów dotyczących tej „białej plamy”, bądź to dokonując prób ukazania w szerszej perspektywie losów Polaków w Sowieckiej Rosji.

Nie mogę i nie chcę przez to powiedzieć, że materiały te nie posiadają żadnej wartości, czy to wspomnieniowej, czy to dokumentarnej. Te, które prezentują wspomnienia osób, które przeżyły ten straszny czas, dostarczają wspaniałego i jednocześnie jakże okrutnego w swej wymowie obrazu losów ich twórców. Te, które są próbą analizy, osadzenia tych wydarzeń na szerszym tle, czy to historycznym, czy politycznym, stanowią ciekawy materiał ukazujący całą ukrytą maszynę, która to wszystko spowodowała. Dochodzi do tego, wspomniany już fakt oczekiwania na

Dokończenie na str. 14

„Urzędniczki na pocztę zjadają szynkę i schabowe, które powinny zjadać dzieci”

DYREKTORA posłać na emeryturę, księgową wywalić, a całą resztę razem z ich komputerem na zbity łeb wyrzucić — oto, co usłyszałam na szkolnej zabawie w przerwie pomiędzy „Lambadą” a „Kaczuchami”.

Latorośle wywijają nogami, a rodzice „bili pianę”, nie przebiegając w słowach, które niekiedy miały ciężki kaliber. Cała rzecz od razu wydawała się być godną dziennikarskiej interwencji, tak więc przytoczę wszystko, co w tej sprawie usłyszałam: od rodziców, od pracowników stołówek zatrudnionych w kilku lubelskich szkołach i przed szkołami oraz dyrektora, o którym mowa powyżej.

Sprawa dotyczy żywienia dzieci w szkolnych stołówkach i funkcjonowania Miejskiego Zespołu Ekonomiczno-Administracyjnego Szkół w Lublinie.

Nie ma dwóch jednakowych szkół podstawowych, podobnie jak i przedszkoli: są przedszkola małe, są i o kilku oddziałach. Są szkoły, jak choćby na Bronowicach czy LSM, gdzie stołówki żywią 100–250 dzieci. Natomiast szkoły w nowych osiedlach, np. na Czechowie lub Czubach, wydają do 600 obiadów dziennie. Są też różnice w stawkach żywieniowych za śniadanie i obiad, od np. 26 600 zł do 34 200 zł w miesiącu styczniu. Ale to, co dzieci jedzą i jaką się za towary płaci cenę, zależy już od inwencji i „chodów” pracowników poszczególnych stołówek, o czym będzie również poniżej.

Jednostką, której podlegają wszystkie stołówki, która prowadzi im wszelkie sprawy finansowo-księgowe, jest Miejski Zespół Ekonomiczno-Administracyjny Szkół.

Mówią rodzice:

— W szkole otrzymujemy książeczki opłat i co miesiąc uiszczamy należności za wyżywienie dzieci w stołówce. Pieniądze wpłacamy na konto Zespołu. Okazuje się, że w tym momencie pieniądze te rozpoczynają prawdziwą wędrówkę poprzez pocztowe okienka, różne konta i komputer, aż z ogromnym opóźnieniem trafiają wreszcie do właściwej szkoły. W tym czasie w szkole rozpoczyna się awantura, że dzieci chodzą na obiady, za które nie zapłaciły. Nakazuje się dzieciom przynieść do szkoły książeczki opłat, aby sprawdzić, czy rzeczywiście wyżywienie za dany miesiąc zostało zapłacone. Niektóre dzieci gubią książeczki, a wtedy rozpoczyna się kolejna gehenna.

— Każdy rodzic — sam albo przez dziecko — wolałby opłacać stołówkę na miejscu w szkole, nie mieć tych wszystkich korowodów i być ciągle podejrzanym, że posyła dziecko na obiad, za który nie zapłacił. Tym bardziej, że...

— W styczniu poczta w sposób drastyczny podniosła opłaty i na przykład od kwoty 34 200 zł opłata pocztowa wynosi 1 550 zł. — mówią dalej rodzice. — Proszę pani, przecież w skalę Lublina są to miliony złotych, które zabiera poczta. Gdyby te pieniądze przeznaczyć na wyżywienie biednych dzieci, to przynajmniej wiadomo by było, że jest stąd jakiś pożytek. A tak, to żywy urzędniczki na pocztę. To one zjadają szynkę i schabowe, które powinny zjadać nasze dzieci. Płacimy horrendalne sumy za przybicie stempla w książeczce. A przy tym marnujemy tylko czas, bo w osiedlowych pocztach stoi się w kolejkę przed okienkami nawet i po 45 minut.

— Kolejny galimatias wytwarza się przy tzw. odpisach za nieobecność dziecka w szkole. Zespół wydał zarządzenie, że odpisy można robić tylko wtedy, gdy dziecko wykaże się zwolnieniem lekarskim, i to nie krótszym niż 3 dni. Ale takie zwolnienie musimy przecież dawać wychowawcom, aby nieobecność dziecka w szkole była usprawiedliwiona. Na szczęście rozsądni kierownicy stołówek załatwiają to z nami „na gębę” lub telefon i robią odpisy nawet jednodniowe, oczywiście wcześniej zgłaszane, co przy obecnych stawkach za obiad jest po prostu uczciwym podejściem do sprawy.

— Przez dwa miesiące leżałam w szpitalu. W międzyczasie również dziecko było chore. Poszłam do Zespołu dowiedzieć się, jaką kwotę z od-

pisów mam potrącić przy regulowaniu kolejnej należności za stołówkę. Proszę pani, oni tam mają komputer i w związku z tym już nie nie wiedzą. Dobrze, że kierowniczka stołówki prowadzi zwykły zeszyt i od ręki wyliczyła mi odpis. Ale nachodzić się musiałam.

Wnioski rodziców są jednoznaczne: żądają zmiany dotychczasowych zasad opłacania wyżywienia. Chcą, by szkoła lub przedszkole miały bezpośrednią kontrolę nad wpłacanymi na miejscu przez rodziców należnościami za wyżywienie z jednoczesnym uwzględnianiem odpisów. Nie życzą też sobie niczym nie uzasadnionego wysokiego opłacania poczty, do czego obecnie zmusza ich Zespół.

Mówią pracownice stołówek:

— Awantura zaczyna się już na początku miesiąca, kiedy to idziemy do Zespołu po zaliczkę na zakup towarów na śniadania i obiady. Słyszymy wtedy od głównej księgowej, że zaliczki nie dostaniemy, bo rodzice nie zapłacili za wyżywienie. Nie pomagają nawet przysięgi, że na własne oczy wdziałysmy opłacone książeczki, które dzieci przyniosły, bo przecież inaczej nie dostałyby abonamentów. Tam, w Zespole, nikogo nie obchodzą dzieci ani to, czy jutro zjedzą obiad, czy nie. Oni mają swoje przepisy i zarządzenia. Mają też ciągle psujący się komputer, z którego wydruk np. odpisów otrzymujemy po dwóch miesiącach i wielu nieporozumieniach z rodzicami.

ZUPA SZKOLNA Z PARANOJĄ

Izabella Wlazłowska

— Przepisy przesłaniają Zespołowi zdrowy rozsądek. Oto przykład: jednorazowo możemy otrzymać zaliczkę w wysokości 300 tys. zł gotówką i 700 tys. zł czekiem. Tak było w ubiegłym roku i tak jest obecnie mimo wielkiej wyższości cen. Zaliczkę tę otrzymują jednakowo małe przedszkola i wielkie szkolne stołówki. Proszę popatrzeć: oto rachunek za zakup warzyw, za które płacimy gotówką. Opiewa na ponad milion złotych. W sklepie musiało rozpisnąć mi go na cztery odrębne rachunki, aby każdy był do 300 tys. zł, bo inaczej główna księgowka nie przyjmie rachunku, nie rozliczy zaliczki i nie da nowej. Zmuszani jesteśmy do kombinacji. Oto rachunek sklepu spożywczego: za same jaja zapłaciłam prawie 400 tys. złotych. A pieczywo? Mleko? Sery? Jednorazowy zakup przewyższa czek wysokości 700 tys. zł. Trzymając się tego, czego trzyma się główna księgowka w Zespole, dzieci po prostu by nie jadły.

— Skąd bierzemy pieniądze na pokrycie wyższych rachunków niż wynoszą nasze zaliczki? Pożyczamy z pieniędzy szkolnego komitetu. Ciągami pożyczamy i swoje pieniądze, które potem jakże trudno jest odebrać. Działania Zespołu w tym zakresie to po prostu paranoja.

— Proszę pani, trudno opisać Gulgotę, którą przechodzimy codziennie, by wydusić pieniądze z Zespołu po to, by dzieci miały co jeść następnego dnia. Tam nikogo nie obchodzi, że idąc teraz do sklepu mięsnego i kupując np. łopatkę na wyżywienie dla dużej stołówki, trzeba zapłacić ponad milion złotych.

— No i w ten sposób wydeptujemy codziennie drogę do Zespołu, płacąc 480 zł za bilet MPK w obydwie strony po to tylko, aby rozliczyć zaliczkę i pobrać następny. A na dodatek traktowani tam jesteśmy jak intruzi i potencjalni złodzieje. Zdarzało się, że główna księgowka wyrzuciła mnie za drzwi, krzyżując: „Ja pani tego rachunku nie rozliczę”.

— A ileż to razy — aby przyjeżdżać nam szybciej rachunki i rozliczono od ręki zaliczkę — idzie się do Zespołu z kawą lub słodkami? Tylko do góry będziemy jeszcze dawać te latorośle?

— Jest 18 styczeń. Czy pani myśli, że wiem, jaki jest obecny stan mojego konta? Ile pieniędzy wydałam i ile mi jeszcze zostało? Komputer po prostu nie nadąża z wydrukiem. Gdybym miała u siebie pieniądze, wiedziałabym, jak nimi gospodarować i co kiedy kupować.

— W październiku mogłam kupić ziemniaków na całą zimę, bo mamy gdzie je zmagazynować. Były po 120 zł za kilogram z przywozem do szkoły. Ale w księgowości wymyślono, że 120 zł to jest za dużo i możemy kupić tylko po 100 zł. Na taką cenę chłopi się nie godzili. Więc teraz kupuję ziemniaki co tydzień, płacąc po 300–350 zł od kilograma plus transport.

— Podobnie było z cukrem. Pod koniec roku mieliśmy trochę oszczędności. Chciałam więc kupić cukier. W Zespole zabroniono mi to zrobić. Powód? Nie można cukru magazynować, bo go może ktoś ukraść. A zaraz po nowym roku był krach na rynku cukrowym, więc dzieciom herbatę siodzieliśmy „Herbavitem”. No a teraz płacimy już za cukier po 6 750 zł. Taka oto jest gospodarka Zespołu. Za wszystko płacą oczywiście rodzice, bo te ceny podrażają posiłki.

— Niektóre towary mogłabym kupować bezpośrednio u producenta — z pominięciem 30-procentowej marży sklepowej. Ale Zespół i tak rozlicza to wszystko z marżą i te 30 procent zatrzymuje na swoim koncie, a za wszystko każe płacić rodzicom. Więc

DWORZEC PKP. Szósta rana, strasznie ciemno. Jest Ania. Taksówką. Ładny gips — myślę sobie. — Jeszcze dołożę do tego interesu. W moim samochodzie krótka operatywka. Najważniejsza reklama — uzgadniamy. — Jeśli nie sprzedamy wszystkich 100 egzemplarzy — trudno, przecież nie o to chodzi.

Zgodnie dzieliśmy towar na kupki. Patrząc na Ankę: luz. U mnie z kolei ta namolna myśl, że niczego w życiu nie udało mi się sprzedać, choć się starałam. Ale przecież nikt nie musi o tym wiedzieć.

Debiutujemy przed schodami. Młodziej pracująca wypala w gromadce towarzystkiego papierosa. Relacje? Jakie relacje? — pytania bardziej na odczepkę niż z ciekawości. Trzymamy się ciepłowie, udaje nam się w końcu wręczyć gromadce gratias świątecznego wydania.

Głos z megafonu pogania uprzejmie podróżnych do Warszawy i Krakowa. Dobra nasza. Ludzie czekają w ogonku po bilety, pora na dziennikarskie wejście.

— Polecamy państwu „Relacje”, dobra lektura na czas podróży — intonuje reklamową pogadankę.

— Nie ozytam — pani zaplątana w lasie ogony natychmiast odśpiewuje swoje andante i skłania główkę w morderkowym toczku ku trzem podróżnym torbom.

— Najświeższe wydanie „Relacji”? — krzyczy Ania do tych, co już bilety kupili. Raźnij mi.

— Dobrze pismo — kontynuuję w stronę poważnego pana w kapeluszu.

— Kto za tym stoi? — pyta poważny pan.

Oglądam się za siebie.

— Nikt — odpowiadam.

— Jak to nikt — niecierpliwie się, spoglądając na peron. — Nie ma tak, żeby nikt nie stał.

— Słowo honoru, że nikt. Jesteśmy niezależni.

— No, no, a to się wam udało! — uśmiecha się wreszcie, sięgając do portfela. — Ile?

— Osiemset — brnę dalej.

— Yyych... Aż tyle?

Thunaczę: ceny papieru i poligrafii poszły dramatycznie w górę. Stąd ta cena...

Inkasuję pieniądze.

— Milej lektury — życzę i biegnę dalej. Wcale nie! — myślę.

GDY 12 sierpnia 89 roku w Kazimierskim Muzeum Złotnictwa otwierano wystawę srebrnej biuterii Marcina Zaremkiego, nikt nie przeczuwał, że będzie ona miała tak fatalny finał. Doprowadził do ingerencji prokuratora i rzucił cieżką i znakomitą dotąd reputację i renomę muzeum.

Muzeum Złotnictwa w Kazimierzu jest jedyną w Polsce placówką kolekcjonującą i prezentującą wyłącznie zbiory złotnictwa. Inicjatorem jego powstania był kanadyjski biznesmen (obecnie posiadający obywatelstwo polskie), kolekcjoner sztuki, Jędrzej Jaworski. Przebywając w Polsce, zwrócił uwagę na brak należytego szacunku dla złotniczych zabytków, na nieświadomość sobie ich rzeczywistych wartości. Uważał, że — w przeciwieństwie do stale eksponowanego w salach muzealnych malarstwa i rzeźby — właśnie polskie złotnictwo stoi naprawdę na wysokim, światowym poziomie. A muzeum posiadające zbiory przedmiotów złotniczych prezentują — ze względu na brak miejsc wystawienniczych — jedynie ich znikomą część. Większość zalega w magazynach i nigdy nie jest ekspozycyjna.

Aby zmienić ten stan rzeczy, Jędrzej Jaworski zaproponował założenie muzeum złotniczego. Dlaczego jednak na lokalizację wybrał właśnie Kazimierz — małą, typowo turystyczne miasteczko? Z tych dwóch powodów: że turystyczne i że małe. Przy wielkiej ilości przybywających do Kazimierza turystów także muzeum nie może ujść uwadze. W sezonie odwiedza je codziennie około dwóch tysięcy osób. Sam Jaworski w chwili powstania muzeum ofiarował mu 502 eksponaty. Za to został odznaczony medalem przez ministra kultury i sztuki i otrzymał honorowe obywatelstwo Kazimierza.

po co mam się trudzić, skoro obiad i tak tańszy nie będzie?

— Istnieją duże możliwości tańszej kalkulacji posiłków, ale Zespół związał nam ręce przepisami.

Zespół to moloch-pośrednik, zatrudniający furę pracowników, skostniały, nieruchawy, nieprzystający, a na dodatek nieprzyjemny. Jedną księgową w szkole bezboleśnie rozwiązałyby cały problem.

Wnioski pracowników stołówek: jak najszybciej pozbyć się instytucji pod nazwą Miejski Zespół Ekonomiczno-Administracyjny Szkół i stworzyć możliwości prawne do usamodzielnienia się szkolnych stołówek, a tym samym — dać stołówkom możliwość gospodarskiego obracania pieniędzmi rodziców po to, by dzieci karmione były dobrze, tanio i zdrowo.

Ponieważ pracownice stołówek, które ze mną rozmawiały prosiły o ujawnienie ich nazwisk, bo natychmiast byłyby na cenzurowanym w Zespole, ja jako pierwsza własnym nazwiskiem w pełni popieram ich wnioski i w dalszym ciągu popieram go będę.

Tym bardziej, że w rozmowie z

dyrektorem Zespołu

ustaliłam, iż nie do pomyślenia jest zbieranie pieniędzy od rodziców w szkole, bo... I tu taksatywnie wyliczono mi trudności: przepisy o rachunkowości finansowej, kraty w oknach, kasy pancerne, konwoje zabezpieczające itd., itd. Zapytano mnie też retorycznie: No a jeżeli komus pieniądze zostaną ukradzione, to co będzie? A jeżeli ktoś defrauduje, to co będzie?

Wzrostem lekarstwem na wszystko jest według dyrektora Zespołu, poinformowanie rodziców o tym, by nie chodzili z książeczkami na pocztę, która pobiera wysokie opłaty, a udawali się z nimi do dwóch lubelskich oddziałów PKO, która opłat nie pobiera.

Niniejszym o tym informując, wybieram się do PKO obejrzeć, jak jej pracownicy radzą sobie tysiącami rodziców, którzy przenieśli się z kolejką na pocztę do kolejek w PKO, która jednak od każdej gotówkowej kwoty pobiera odpłatność w wysokości półtora procent wartości.

— Na górę nie ma co iść — informuje mnie w przelocie Ania. — Wszyscy śpią.

W porządku, działamy na dole. Miła pani chce wiedzieć, co w numerze. Siwy pan kupiłby, ale on ma grube, a ja nie mam wydać. Pani z dzieckiem kupuje. Dziecko pyta, czy są obrazki.

Trzech dryblasów z piecałkami. — Znamy, znamy te rewelacje — dowcipkuje jeden.

— No i jak? — sonduje.

— Ujdzie — odpowiada najrozmowniejszy. — Ale my teraz czytamy podręczniki. Egzamin.

Z handlu nici.

— A co to pani ma? — jegomość z teczką ogląda pierwszą stronę.

maczy ze stoickim spokojem Ania. — I jeszcze tyjemy.

Rozmowie przysłuchuje się młody człowiek w drucianych okularach. Przyjezdny. Z Warszawy. Chce wiedzieć, gdzie ulica Pszenna. Nie wiemy. Proponujemy tygodnik. Znowu seria pytań o metrykę. Ze niezależny? Nie dowierza.

— Ależ ja w ogóle prasy nie czytam — broni się. — A wiecie, kto jest najsilniejszą władzą w Polsce? — pyta zniecierpliwiony.

Odpowiadamy.

— A nieprawda! — ripostuje z satysfakcją. — A KPN!

Wyciąga notes i długopis. — Oho! Kochany — myślę sobie.

— Pan co ma? — pytamy dziadka w kaszkiecie, przytupując, bo ciągnie od nóg.

— A o to — wyciąga „Rakieta” ze srebrną bransoletką, chucha na szkielecko, przeciera do połysku i chowa z powrotem do kieszeni. Rozmówkę, czyśto towarzyskie. Głównie narzekanie na Kuronia.

— W dzisiejszym numerze jest właśnie o tym, czy nam grozi bezrobocie — wpada mu w słowo Ania. — Może pan poczytać.

— Jakbyście mi dali kanapkę, to bym kupił.

— Nie mamy.

wszystko słyszą. Z nimi ani handlu, ani rozmowy już nie będzie.

— Pani da — trąca mnie znajomy z widzenia. — To już teraz robi pani w handlu?

Tłumaczę, co i jak.

— A mnie się to nawet podoba. Reklama to dźwięgnia, no nie?

No tak. Zawsze i wszędzie.

Panowie z tabliczkami „Sprzedam dolary, ruble, marki” chcą pogadać, bo nuda.

— Nie mam za co... — śmieje się przystojny „change-money”, przebiegając w harmonijce różowo-zielonych papierków.

— Nie wyglupiaj się, Waldek. Wiesz, że dziewczynom już niewiele zostało — namawia ten, który kupił „Relacje” już wczyniejszy. — No?

Pan Waldek pożyczka od kolegi i kupuje.

Brodacz o wyglądzie intelektualisty bierze dwa egzemplarze. Dla siebie i sąsiadki ze stoiska obok.

— A pani to ma oczy jak tort o-rzechowy — podrywa Anię sprzedawca dzinsów — Coś w nich, cholera. sieczy...

— A pani to kto? — dopytuje się. Przedstawiam się.

— Aaa, to kupię! Ale od tej pani... — zdecydowanie wskazuje na Anię. Jest miłutko.

— Burdel! Do czego to wszystko prowadzi?! Ja to bym tych czerw... — odgraża się ktoś z grupki rozdyktowanych politycznie.

Dwunasta. Wypilybyśmy herbatę.

— Może tak po jednym? — zaprasza sympatyczny brunecik od tureckich kurtek. — Szkoda, że samochodem...

Mamy już znajomych.

— Jednak niech pani da — zaczyna jeden z tych, co nie umieli czytać.

Wręczamy mu uroczyste ostatni egzemplarz.

— Patrz, Anka — mówię — Bazar dziś czyta „Relacje”... Piękny widok.

JAK SPRZEDAWAŁAM „RELACJE”

Ewa Czerwińska

— Najlepszy tygodnik po prawej stronie Wisły — wypalam odważnie.

— Daj dwieście, bo nie mam wydać. — Przybiega Ania. Spotkała znajomych, już jej się nie wymkna.

— Polecam panu... — odwracam się do przystojnego młodzieńca z czupryną jak smoła, ale nie kończą.

— Czytam tylko „Wyborczą” — rzuca mi pogardliwie i odwraca się tyłem.

— A ja to, proszę pani, zawsze mam z dostawą do domu — informuje uśmiechnięty blondynek. — Sąsiadka z drukarni przynosi...

Megafoon zaprasza na peron. Mrok rzednie, tłumek też. Liczymy egzemplarze. Trochę poszło.

Przed dworcem sznur taksówek.

— Idziemy! — komenderuje Ania.

— „Relacje”? — podnieca się starszy wiekiem taksówkarz. — A co tu mi pani daje! Wszyscy partyjni kłamią! Wy też. A w ogóle to przecież was słówkował.

— My nie jesteśmy partyjni — tłumaczę.

— To co, będzie pan nas spisywał? — pytam z ciekawości.

— Nie, nie. — Młody człowiek jeszcze raz sprawdza nazwę ulicy, do której chce dotrzeć. Po to ten notes. A „Relacje” w końcu kupuje.

Robimy pauzę i lecimy na Bazar. Osma. Handel dopiero szykuje się do startu. Pani z butami sympatyczna, ale do lektury ją nie namówi. Najpierw musi coś sprzedać, a potem najwyżej kupi. Biznes jest biznesem!

— Czuję się jak na targu w Pińsku — mówi Ania.

Ja się w ogóle nie czuję. Boli mnie gardło od występu na dworcu.

Za metalowym ogrodzeniem, na szaber-placu starsi panowie z rękami w kieszeniach.

— A co to, a po co? — dopytują się, wietrząc konkurencję.

Wymachujemy gazetą. Aha. W porządku. W drogę sobie nie wchodzimy.

Na stołach coraz więcej Tajlandii, Turcji i Związku Radzieckiego. Kupujących niewiele. Po drodze do zagranicy idziemy do warty.

— Ja nie umiem czytać... — zraża nas jak może najlepiej sprzedawca bojkentów.

— Pani, ja tam na takie rzeczy nie mam czasu — słyszymy na sąsiednim stoisku. — Telewizor się włączy i wszystko się wie. To na co czytać?

Przy stołach z zagranicą przychylne zainteresowanie. Znają, czytają, kupią. Ale jak my coś od nich kupimy. Ania szuka najtańszego towaru. Jest. Guma do żucia. Pięćset za sztukę. Kupujemy dwie. Obopólne zadowolenie.

Zaglądamy do targowych antykwariatów.

— Patrz, „Nastolatki gotują” za pięćnaście! Czysty rozbój! — mówię do Ani. Zbyt głośno. Chłopcy od książek

Wówczas, w grudniu 79 roku, muzeum umieszczono tymczasowo w budynku przy rynku. Tymczasowo, gdyż — ze względu na brak odpowiedniego zabezpieczenia i małej powierzchni ekspozycyjnej — nie nadaje się on do właściwego prezentowania interesujących zbiorów. Właściwym ich miejscem miała stać się kamienica Przybyłków. Do dziś muzeum znajduje się w tym samym, małym budynku, a zbiory rozrastają się, nie mieszcząc już ekspozycji. Oprócz wzbogacania kolekcji starych sreber, w muzeum organizuje się czasowe wystawy, prezen-

Właśnie tę salę wybrał sobie do zaprezentowania bizuterii Marcin Zaremski. Ona jedynie umożliwiła pełniejsze ukazanie jego dorobku artystycznego. Ustawiono więc, jedna przy drugiej, kilkanaście gablot, by tam umieścić 200 małych srebrnych precjozów.

Przez dziesięć lat żadnego eksponatu Muzeum Złotniczego nie tknęła ręka złodzieja... A jednak stało się. Z wystawy skradziono siedem srebrnych broszek wartości 2 i pół miliona złotych (wartość z października). Brak eksponatów zauważono dopiero 17 października i odkrycia tego dokonał

Sam autor, zdenerwowany i podniecony zbliżającym się otwarciem nie miał głowy, aby — mimo usilnych próśb organizatorki — podać dokładne charakterystyki eksponatów i ich wyceny. W związku z czym w aktach sprawy znalazł się poważny zarzut niewłaściwego wypełnienia protokołu zdawczo-odbiorczego oraz złamania regulaminu przez wpuszczenie podczas układania obiektów osób postronnych.

Pośpiech, pośpiech, pośpiech... wytknięty i wyszczególniony drobniarogowo przez prokuratora. Ale wielka feta odbyła się o czasie.

Zresztą książka kontroli ekspozycji to istna lamigłówka. Często nie sposób ustalić, kto i kiedy pełnił dyżur ani też kto kogo zastępował. Sposób prowadzenia tej księgi zakwestionował prokurator. Uniemożliwia ona sprawdzenie, czy przez cały czas trwania ekspozycji była dostateczna liczba pilnujących. Ustalono również, że kontroli dokonywano sporadycznie i wyłącznie wizualnie, co przy dwustu eksponatach wydaje się nonsensem.

Tak więc możliwości kradzieży było kilka. Fakt, że okradziono gabloty ukryte za filarami, niewidoczne z „kiosku”, wskazuje raczej na dokonanie tego przez kogoś ze zwiedzających. Również wykazuje, gdzie wówczas przebywały osoby mające pilnować wystawy. A zabezpieczenie szklanych szyb, pod którymi znajdowały się eksponaty, jedynie taśmą klejącą na rogach, jakby potwierdzało przysłowie, iż okazja czyni złodzieja.

Również niepokojąca wydaje się informacja, przekazana prokuraturze niemal w tym samym czasie co wiadomość o kradzieży bizuterii, o zaginięciu dwóch dziewiętnastowiecznych cukiernic wartości 5 milionów. Pochodziły one z kolekcji Jędrzeja Jaworskiego i znajdowały się w magazynie. Zginęły z miejsca, z którego zniknąć nie mogły — powiedziano w muzeum. Włamać się tam też nie sposób. Ale fakt, że zginęły akurat dwie z tego samego okresu, i nawet tego samego warsztatu, świadczy raczej o niedopełnieniu w przeszłości pewnych, drobnych formalności.

Pracownicy mówią niechętnie. Są, rozdrażnieni, a zarazem zdziwieni, że chce mi się zwracać głowę takimi sprawami. Wszak kradzieże są dziś w muzeach niemal na porządku dziennym. Gdyby chcieć się przed nimi ustrzec, trzeba by muzea w ogóle zamknąć — mówią. — Na cztery spusty.

Wówczas, przeglądając ekspozycję. Wówczas do akcji wkroczył prokurator.

Przeglądając akta sprawy, dostrzec można wiele dziwnych splotów wydarzeń, uniemożliwiających dokładne określenie czasu kradzieży, wiele pośpiechu, bałaganu i w końcu beznamiętności i nieodpowiedzialności.

W zastępstwie nieobecnego kierownika polecenie zorganizowania wystawy otrzymała młoda dziewczyna, nie związana z tym działem muzeum kazimierskiego. Autor przybył ze swoimi pracami dopiero na dwie godziny przed otwarciem. W pośpiechu rozłożoną na podłodze bizuterię układano w gabloty. W trakcie tej pracy już zaczęli napływać zaproszeni goście z Warszawy. A zaproszona samą śmiejącą stolicy. Nie można więc było pozwolić na afront stania gości pod zamkniętymi drzwiami muzeum.

Następnego dnia po otwarciu, na sali ekspozycyjnej pojawiła się ekipa Polskiej Telewizji. O ich wizycie również jest mowa w aktach. I tym razem nie dopełniono wielu obowiązków po obu stronach. Głównym zarzutem jest to, iż podczas filmowania, wyjmowania precjozów z gablot, przez salę przetaczały się gromadki zwiedzających.

Pod koniec sierpnia autor zabrał z wystawy 31 eksponatów. Protokół zdawczo-odbiorczy, owszem, powstał, ale brak w nim było podpisu i pieczęci osoby dokonującej zwrotu, dokładnego opisu oddawanych przedmiotów. Data spisania protokołu była podana błędnie. Stwierdzono także, iż nie przez cały czas wyjmowaniu i pakowaniu towarzyszyli strażnik i pomoce muzealne. Zaś w książce kontroli ekspozycji nie odnotowano w tym dniu wydania czegokolwiek.

SREBRNY ŁUP

Violetta Krasnowska

tujące najnowsze tendencje w polskim złotnictwie współczesnym.

Całe muzeum mieści się na dwóch kondygnacjach. Praktycznie jednak stała ekspozycja sreber znajduje się jedynie w piwnicach. Założona tam instalacja alarmowa strzeże eksponaty przed kradzieżą. Oprócz tego jeszcze pilnowane są one przez strażnika.

Górna kondygnacja, zwana Galerią Letnią, nie posiada żadnych zabezpieczeń alarmowych. Dlatego też tutaj organizuje się czasowe wystawy malarstwa i rzeźby, w myśl zasady, że duże przedmioty trudno niezauważenie wynieść. Sala ta podparta jest w rogach filarami, zaś w jej środku znajduje się tzw. kiosk, będący miejscem dla bileterki. W sali stale przebywa strażnik i pomoce muzealne.

FEDERACJA Z CZECHOSŁOWACIĄ...

Ciąg dalszy ze str. 1

Zaleskiego, rozesłany 19 lutego 1940 r. do polskich placówek dyplomatycznych, w którym zarysowana jest wizja państw funkcjonujących w Lidze Narodów jako „unia europejska” składająca się z regionalnych grup państw, powiązanych ze sobą w sposób szczególny sytuacją geograficzną, gospodarczą i polityczną. Związek Polski i Czechosłowacji, wstępnie określany przez polityków obu stron, zdaje się być trwałym składnikiem tej konstrukcji, opartej na integralności ekonomicznej państw Europy środkowej i południowo-wschodniej, co pozwoliłoby na stworzenie wielkiego rynku zbytu dla towarów innych krajów i obszaru ekspansji kapitału zachodnioeuropejskiego oraz amerykańskiego.

W tym miejscu muszę Czytelnika odesłać do wydawnictwa: „Sprawa polska w czasie II wojny światowej na arenie międzynarodowej. Zbiór dokumentów”, Warszawa 1965, s. 139—140 i 141—142, by nie być podejrzanym o referowanie myśli prof. Zbigniewa Brzezińskiego na temat konieczności przyszłej integracji Polski i Czechosłowacji w ramach zjednoczonej Europy końca XX wieku.

DALSZA wymiana poglądów między Sikorskim i Benešem odbywała się już w odmienionej sytuacji, bowiem po klęsce Francji i odejściu brytyjskich polityków „monachijskich”, 9 lipca 1940 r. Beneš ogłosił utworzenie rządu czechosłowackiego na emigracji, a sobie przywrócił był urząd prezydenta Republiki Czechosłowackiej. Zostały te fakty uznane przez Brytyjczyków (21 lipca) i z oporami, czego świadkiem były posiedzenia rządu, także przez Polaków (29 lipca). Powstały zatem warunki do współpracy rządu polskiego „na emigracji” z czechosłowackim rządem „emigracyjnym”. Różnica w nazewnictwie drobna, choć istotna, bowiem w Pradze istniał prezydent i rząd pod kontrolą Niemców, zaś Słowacja była „niepodległa” w sojuszu z Niemcami. Te okoliczności wojennego losu Czechosłowacji nie były bez znaczenia dla omawianej sprawy i konsekwencji dla powojennego układu stosunków międzynarodowych. A tego przecież dotyczyły projekty związku obu państw.

Tymczasem w tezach programowych z 15 sierpnia 1940 r., określających polską politykę, czytamy: „W stosunku do Czech i Słowacji winniśmy utrzymywać nadal postulat niepodległości tych krajów, jako jednego z głównych celów obecnej wojny. [...] Należy w dalszym ciągu utrzymywać bliskie stosunki z grupą dr. Hodzy oraz popierać dążenia Słowaków do otrzymania od Czech takich uprawnień, które zadowolą ich aspiracje narodowe”. Nic tu dodawać nie trzeba poza wyjaśnieniem, że Beneš, rzecznik idei Czechosłowacji, a nawet „narodu czechosłowackiego”, nie mógł w tym dokumencie nie zauważyć śladu „selektywnej” myśli politycznej płk. Becka, gdy tymczasem szło o związek dwu i więcej państw środkowoeuropejskich.

Mimo to pracowano nad tym usilnie, skoro E. Raczyński w swym dzienniku notuje, że we wrześniu 1940 r. zajmował się głównie sprawami „unii” polsko-czechosłowackiej. Sądzić wolno, że odbywało się to w atmosferze dość napiętej, a nawet z pewnymi kontrwersjami.

Oto W. Churchill, nowy brytyjski premier, chcąc się zdystansować od polityki monachijskiej swoich poprzedników (też konserwatystów!), w przemówieniu radiowym do „narodu czechosłowackiego”, 30 września 1940 r., w drugą rocznicę Monachium, oświadczył między innymi, że Niemcy przekreśliły tę umowę, zaś walka Wielkiej Brytanii prowadzona jest w imię wszystkich narodów przeciw tyranii, o prawo do niezależnego życia. Nie powiedział tylko, czy chodzi o Czechosłowację sprzed Monachium (29 września 1938 r.), czy też o brytyjskie gwarancje i ich pogwałcenie przez Niemcy (15 marca 1939 r.) oraz zniewolenie II Republiki.

Beneš uznał tę wypowiedź za przekreślenie umowy monachijskiej i wszystkich jej następstw, a zatem także zmian terytorialnych dokonanych przez Węgry (południowa Słowacja i Ruś Zakarpacka) i Polskę (Zaolzie). Dał temu wyraz w przemówieniu „do narodu” w przeddzień święta niepodległości 27 października 1940 r., gdy mówił o krzywdzie, która musi być naprawiona przez ułożenie stosunków z rządem polskim i... ZSRR.

Dla Beneša podstawą polityki były przyjazne stosunki czechosłowacko-radzieckie, a to, obok uznania przez Polskę integralności Czechosłowacji z września 1938 r., było warunkiem porozumienia (czy też ścisłego związku państwowego) polsko-czechosłowackiego.

Proradzieckie sympatie i politykę Beneša obciążał powszechnie przyjęty w historiografii fakt, że to jego korespondencja ze Stalinem wywołała „sprawę” i krwawą rozprawę z marszałkiem Tuchaczewskim i z całą tysiącenną grupą innych „spiskowców” z Armii Czerwonej. Tę rolę Beneša Moskwa skwitowała na swój sposób, bowiem dopiero 14 grudnia 1939 r. zerwała stosunki z Pragą, ale czeski poseł w Moskwie (Z. Fierlinger) mógł nadal tam pozostać, zaś wkrótce został posłem... rządu Beneša! Dodam, że Beneš w latach 1939—40 utrzymywał bardzo żywe kontakty z ambasadorem ZSRR w Londynie, I. Majskim, informując go na bieżąco o sytuacji w Protektoracie Czech i Moraw (tym samym o antyradzieckich przygotowaniach ze strony sojuszniczych z ZSRR Niemiec), czego jednak w Moskwie nie wykorzystano... Ale usługa kolejna była.

Wspomniałem ten wątek, bowiem kontrastuje to ze stosunkami polsko-radzieckimi tego czasu, które po-

Ciąg dalszy na str. 7

Między prawdą a nienawiścią

POD koniec dwudobowych swierzeń mój podpułkownik jakby się zmęczył. Coraz częściej, zamiast notować dłuższe partie wynurzeń, musiałem iść na wymianę. System był prosty: dwie godziny rozmowy, dwie odpoczynku, i tak przez cały dzień do późna w noc.

— Mój towarzysz z organów, Rosjanin, trafił do polskiego wojska, które organizował Stalin. Odziedził go w uniform polski i został oficerem.

— Wiecie, że w 45—46. wywieźli 40 tysięcy partyzantów Armii Krajowej na Syberię?

— Nie tylko z Polski. Z Estonii też, z Ukrainy ludzi Bandery.

— Nie przychodziło wam do głowy, że Polacy, Estończycy czy Ukraińcy chcieli mieć swoje państwa?

— U nas nie było takiego rozumowania. Był zapis w konstytucji, że każda republika może się odłączyć, ale nikt o tym nie śmiał nawet pomyśleć. Jest jeden Związek Radziecki — tak nas uczono. Gorbaczow, podejmując pytania Litwinów, Estów, Ukraińców i innych, popełnił pomyłkę. Trzeba było zrobić jak w

— Wiem. A potem Niemcy napadli na Polskę, a my zajęliśmy zachodnią Białoruś i Ukrainę.

— Lublin, Zamość, Wisła nie należą nawet do najbardziej zachodniej Ukrainy i Białorusi, a weszliście aż tutaj. Przed tym Molotow podpisał pakt z Ribbentropem — to kolejny rozbiór Polski. U nas mówi się, że wbiliście nam nóż w plecy. Na dwa fronty Polacy nie byli w stanie walczyć. To niehonorowe.

— A co mogliśmy zrobić?

— Pomóc nam. Być może nie byłoby drugiej wojny światowej.

— Czym pomóc, sami nie byliśmy gotowi.

— Ale Hitlerowi Stalin był w stanie. Już was łupił, a transporty jeszcze szły na zachód... Poza tym Białoruś czy Ukraina to nie Rosja.

— Zgoda.

— I być może lepiej byłoby dla Rosji, gdyby stanowiły o sobie same. Oczywiście w sojuszu z ZSRR.

PRZYJECHAŁO

Adam W. Kulik

USA: wszyscy są Amerykanami, a w domu pisz, mów, jak chcesz

— Ale tam jedno państwo istniało od początku, a was historia Rosji sięga 1000 lat, a na przykład Azerbejdżanu, Armenii, Gruzji 3000. Tu wcześniej formowały się narodowe państwa, narody nadal mieszkają na swoich terytoriach, nie na rosyjskim.

— Dlaczego? A imperium carów? Na Litwie, w Estonii są nasze bazy morskie, w które włożyliśmy mnóstwo pieniędzy i co teraz?

— Wolne kraje mogą tworzyć federację Związku Radzieckiego, a bazy funkcjonować jak do tej pory, podobnie jak amerykańskie w RFN, w Hiszpanii czy w Turcji.

— Są wolne.

— To teoria.

— No to jak zrobić, po dwóch deputatów z każdej republiki? Z Litwy, gdzie 4 miliony, i z Rosji, gdzie 120?

— Deputatów mogłaby wybierać określona Liczba wyborców — milion, pół miliona. Rozłożyłoby się równo.

Milczy.

— Co teraz pana zdaniem, można zrobić dla ZSRR? — pytam.

— Pozwolić narodom żyć i przefiltrować władze w republikach: czym kto żyje. Jeżeli władze będą gorzko chciały roboty, poprą tym samym Gorbaczowa, jeżeli nie — na aut.

— Gorbaczow przekonał się — mówię — że siedemdziesiąt lat trzymania za pysk niczego nie dało. Ekonomia leży, Rosji potrzeba dużo czasu, żeby dogonić Zachód. Narody, zamiast się unifikować, podkreślają odrębność i pracują nad utworzeniem własnych państw. Z tych powodów próbuje znaleźć inne wyjście — dać więcej swobody w sferze polityki a przede wszystkim gospodarci.

— Polskę zajęli carowie i kto gdzie jechał, mówił, przyjechałem z Rosji, nie z Polski, tak?

— Tak.

— Potem Polska była wolna, Anglicy ciągnęli w swoją stronę, Niemcy w swoją — Gdańsk!

— Gdańsk od tysiąca lat należał do państwa polskiego, zajęły go dopiero Prusy po trzecim rozbiore-

— Małe państwa nie są w stanie zapewnić sobie obrony. Nawet Japonia nie w pełni samostanowi o sobie.

— Dobrze. Rozwiązuje to federacja państw rządzonych przez swoje rządy, ale ustalających na przykład wspólną politykę zagraniczną, sprawy związane z obroną. Zachód ustawił się właśnie tak, niczego nie odkrywamy. Procesy rozwoju narodów, różnice między Rosjanami, Ukraińcami i Białorusinami będą się pogłębiały w samym języku, ale i w kulturze, nawet w mentalności. Kto dziś utożsamia Polaków, Rosjan i Czechów — a przecież wyrosliśmy z jednego pnia. Ze Słowakami i Czechami Polacy, którzy wówczas jeszcze nie byli Polakami, pożegnali się ledwie półtora tysiąca lat temu. A dziś są to zupełnie inne kultury, języki, poglądy na świat, mentalności — jesteśmy sobie bliacy, ale nikomu nie przyszłoby do głowy utożsamiać nas ze sobą.

— Jesteśmy średnim krajem — ciągnę dalej — i musimy być z kimś w sojuszu. Gdzie możemy uciec ze środka Europy? Z jednej strony Niemcy, które dyszą przyjaźnią do nas od tysiąca lat, z drugiej Rosja — nie zapisała się dla nas w najnowszej historii najlepiej, ale zawsze w jakiś sposób była nam bliska. Silna, dobrze zagospodarowana Polska byłaby dla Rosji o wiele bardziej przydatna niż taka, jaka jest.

— Już Stalin to zauważył.

— Tylko robił wszystko, żeby nas zmiażdżyć. Czterdziestomilionowy naród nie będzie napadał mocarstwa, jakim jesteście. Japończycy chcieli u nas wybudować fabryki samochodów z całą infrastrukturą. Rząd nie zawarł umowy — wszyscy mówią: Rosjanie nie pozwolili, bo zalelibyśmy rynek RWPG dobrymi samochodami i oni nie mogliby sprzedać swoich.

— Przecież nam samym nie wystarcza samochodów produkowanych u siebie.

— Ale w Polsce tak ludzie mówią.

Rozmowa miała miejsce ledwie pięć miesięcy temu, gdy rozwiązywaliśmy równania z wieloma niewiadomymi. Dziś tych niewiadomych jest nieco mniej, na kogo przyjdzie zwałić kolejny błąd? Decyzja w sprawie odbudowy przemysłu samochodowego nadal podejmowana jest w tempie ślamazarnym, czyżbyśmy starym, dobrym wzorem liczyli na import? Na przykład z Węgier, którym do tej pory sprzedawaliśmy auta — w rozmowach z Japończykami już nas wyprzedzili.

nując prawa gospodarza, nabył przydzielony metraż przez zasiedzenie.

Tragiczna kwietniowa (1989) masakra w Tbilisi przyspieszyła powazyczne żądania niezależności państwowej Gruzji, stała się też ostatecznie kre-

POCZTÓWKA

Witold Miszczak

sem idyli z „bismurmanami” — jak początko nazywał Abchazów. Gruzini postawili sprawę jasno: własne państwo, własny rząd, odrębna jednostka monetarna, wolność w najszerszym tego słowa znaczeniu. O małej nacji w tym momencie nie pomyślano i interesy Abchazów przestały się w ogóle liczyć. Postanowili oni zatem pozostać nadal w wielkiej republikańskiej rodzinie, co odczytano jako brak poparcia dla niepodległościowego gruzińskiego pe-

PO zamieszkach wynikłych na tle konfliktu gruzińsko-abchaskiego w Gruzji jakby uci- chło. Ale spokój to pozorny, bowiem porządku w Suchumi, Gagrze i Picumdzie strzegą silne jednostki wojsk wewnętrznych. Wszyscy przyzwyczaili się już do obecności uzbrojonych żołnierzy, opancerzonych transporterów z bronią maszynową w obrotowych wieżyczkach i stojących tuż obok nich autokarów, pełniących funkcję wartowniczych sygnali. Ot, zwykły krajobraz stanu wyjątkowego...

Abchaska Autonomiczna Socjalistyczna Republika Radziecka zajmuje niewielką część terytorium Gruzji, ograniczonego z jednej strony wybrzeżem Morza Czarnego, z drugiej — górami Wielkiego Kaukazu. Wśród pół miliona zamieszkałych tam ludzi rodowitych Abchazów jest ledwie 75 tys. Garstka ta, dysponująca pełnym aparatem władzy, tak urzędniczej (rząd, kilkanaście ministerstw), jak i partyjnej (KC, komitety miejskie i terenowe), nie stanowiła dotąd kłody w gruzińskim oku. Małąk mniejszość abchaską traktowano w ojczyźnie Stalina jak zdyscyplinowanego sublokatora, który sza-

— Mocna Polska byłaby idealnym buforem dla Rosji, podobnie jak wolna Ukraina czy Białoruś nie mówią o korzyściach ekonomicznych — ciągnę wątek.

— Tym bardziej, że teraz terytorium nie odgrywa dużej roli. Rakiety sięgają wszędzie.

— Miesiąc byłem na Wyspach Solowieckich — pułkowa zmiana temat — stawałem swoje urządzenia. Wpierw zsyłali tam z małymi wyrokami — kulaków, nie chciał dawać ziarna, do łagru. Zima i pół roku trwała, dużo ludzi przepadło, dużo mogił. Pierwotnie stał tam klasztor prawosławny i coś w rodzaju schroniska dla rybaków. Potem wybudowali obóz strażniczy na wzór niemiecki. Buldożer rył transeję, nikt specjalnie nie pilnował, gdzie uciekniesz — to Morze Białe, krąg polarny. Żeby nie karmić za darmo, ludzie strugali tyżki z drewna, robili łapcie z tyka, zimą dobywali kubiki lodu — okazywało się tańsze niż mrozić. Rzeki zamarały na 3 metry.

— Solżenicyn pisał, że Gorki przyjechał na Solówki?

— Organizował pomoc, szczególnie dla dzieci. Pisał — nie pozwalał, nie drukowali. Dla mnie on był cu-

— Zaprzestali tego za Chruszczowa. Najwyżej kiedy ktoś był niezadowolony, przypuszczamy trzeba było oddać mięso, przychodzili do ołtopa i zabierali krowę. Żona: ty taki owaki, znaczy niezadowolona — zabierali na pół roku, rok. Nakładali karę, mogła żyć w domu i chodzić do roboty, a nie płacili jej.

— Z czego żyła?

— Rodzina ją karmiła. Za Breżniewa brali tych, co nie wypełniali obowiązków, na przykład: trzeba było coś zrobić, on nie zrobił, znaczy nie chciał. Przychodzili, zabierali. Wszyscy głośno krzyczyli hurra!

— Teraz kogo aresztują?

— Ktoś przychodzi, wyrzuca człowieka z domu, na tego jest milicja.

— A Ormianie wyrzucali Azerbejdżan w jednej koszuli i nic im.

NKWD, ZABRALI...

— dak — pomagał wrogom prawnie zasądzonym. Solżenicyn tam siedział, wie, jak było. Na Kolymie teraz obozu nie ma, są fabryki papieru, przetwórnice ryb, ziemia dobra.

— Przez pół roku cokolwiek urośnie?

— Wystarczy! Kartofle, oydło jest — owce, krowy. Chodzą o to, by nie wozić towarów. Korolew, główny konstruktor rakietowej techniki, również siedział w 38-39. na Kolymie. Tupolew był jego studentem. Niemcy wymyślili wówczas metalowe samoloty, nasze przestarzałe, ze skrzydłami z tkanin, płonęły jak zapalki. Tupolew jeździł po łagrach, poręczał za ludzi i zabierał najlepszych, m. in. wyciągnął Korolewa... Wszystkie główne łagry ostały się jeszcze na Syberii, np. Workuta — główny obóz. Kto by chciał iść na mrozie w szyb. Na Uralu też są, nad Angarą. Przedtem były ich dziesiątki tysięcy, skoro musiały pomieścić 20 milionów. W jednym baraku żyło po 200-300 osób. Nie wiem, ile obozów zostało, o niektórych jeszcze dziś nie można mówić.

— Dzieci też sadzano?

— Powyżej dwunastu lat, w tym wieku mogły już pracować — koszyki plotły. Istniały łagry dla całych rodzin, np. dla przesiedleńców. Na dziecko niepracujące dawano 400 gramów chleba na dzień — dawka obowiązująca do grudnia 1947. Na kobietę niepracującą tyle samo.

— Dlaczego Gorbaczow nie zamknie łagrów?

— A kto będzie drzewo płaował — ile żulików u nas jest?

— Do więzienia wsadzić ich nie można?

— Co to więzienie: betonowe pudło z kratą. Trzy razy na dzień jeść mu dawaj, czym on zasłużył na taką radość?

— Dzisiaj też wsadzają niewinnych?

— Pomyłki jakiejś są, ale nie jak za Stalina — wystarczył donos sąsiada i przychodzili nocą. Teraz żulików sadzają.

— Niegdyś były plany: miesiąc w miesiąc taką a taką liczbę wrogów ludu aresztować...

du. „Niech idą gdzie pieprz rośnie” — spokojnie zareagowało Tbilisi.

Szkopuł jednak w tym, że zwolennicy autonomii nie mieli dokąd się udać. Postanowili więc, że w dalszym ciągu pozostaną na przypisanej im ziemi

Z GRUZJI

i obszar ten nadal będzie Abchaską ASRR, ale już nie Gruzją.

Nowy wariant granic nie wchodził oczywiście w rachubę, a że w Gruzji doskonale pamiętają, kto, kiedy i w jakich okolicznościach „dzielił” ich terytorium — chwyciono za oręż. I nie były to bynajmniej pieczętowanie przechowywane w każdym domostwie kindlały i rapery, a najprawdziwsza broń państwa — pistolety maszynowe, granaty, nawet moździerze i haubice! I co zdumiewające — walkę

— U nas jeszcze nie ma zapisu w konstytucji o obronie praw człowieka. Gorbaczow mówi: poczekajcie na zapis, wtedy nikogo nie będzie można palcem tknąć bez śledztwa, wyroku sądowego. Nie ma np. nikt prawa zakupić ziemi — jest niczyja, to znaczy państwa. Tak być nie może. Pracowałem na niej, przelewałem pot, a ona nie jest twoja, tylko kolchozu.

— Wymienić pańskie nazwisko w reportażu? — pytam.

— Nie. Jeszcze figuruję na czarnych listach, za granicę mnie nie puszczą.

— Przecież dawno przestał pan pracować!

— Ale żyję, pamiętam.

— Ma pan dzieci?

— Mój syn i jego żona pracują na 3 bloku w Czarnobylu.

— Teraz??

— Tak. Tam jest ostry reżym, niczego nie wolno jeść, pić, nawet palca polizać. Zbudowano dla pracowników nowe miasto Sławuczicz, 80 km od elektrowni. Mają specjalną stację przesiadkową, gdzie zostawiają kombinony: dojeżdżają 30 km od Czarnobyla, do zony ochronnej, pociąg zatrzymuje się, przesiadają się na drugi, stojący już w zonie. Na miejscu jeszcze raz zmieniają kombinony — w elektrowni wszyscy chodzą w białych, specjalnych uniformach. Pracują po 6 godzin. Żona syna pracuje tam cały tydzień, drugi tydzień w domu.

— To ciężko?

— No, ale 260 rubli miesięcznie. Syn jest specjalistą, przynosi 400 rubli.

— I chcą narażać zdrowie?

— Ja w tym pracowałem, syn się urodził na tej robocie, przywykł. Dla niego atom to nie strach, lecz codzienność.

(Koniec odc. 12 — dokończenie nastąpi)

na śmierć i życie toczyła wyłącznie ludność cywilna, bowiem Gruzja, podobnie jak i inne republiki, własnej armii nie posiada. „Będziemy ją wkrótce mieli” — mówiono mi w Zugdidi, z dumą pokazując demonstrację rekrutów, powołanych do odbycia zasadniczej służby wojskowej, oczywiście w Armii Czerwonej.

„Chcemy służyć, ale w naszym gruzińskim wojsku” — głosiły transparenty, a demonstrujących ochraniał, aby, broń Boże, nic im się nie stało, funkcjonariusze... milicji i KGB. Są to służby złożone wyłącznie z Gruzinów i rzeczywiście skutecznie chronią narodowych interesów.

Właśnie w Zugdidi, głównym mieście starożytnej Kolchidy, zdemontowano ostatnio pomnik Sergo Ordżonikidze, uchodzącego do niedawna za szanowaną postać historyczną. Chodzą słuchy, że podobny los czeka wkrótce obelisk Wodza Rewolucji, który, jeśli nie zajmie się tym władza, zostanie usunięty przez samych ludzi...

FEDERACJA Z CZECHOSŁOWACJĄ...

Ciąg dalszy ze str. 6

17 września 1939 r. przybrały znany likwidatorski kierunek ZSRR wobec państwa i narodu polskiego, stąd Rząd RP na emigracji musiał określić swoje stanowisko wobec tego pokroju polityka-partnera, jakim był Beneš. Ale to dalsza kwestia.

NA razie Beneš 1 listopada 1940 r. przesłał Sikorskiemu memorandum w sprawie federacyjnego związku polsko-czechosłowackiego, używając nazwy „confederatio sui generis”, stąd potem uzgodniono, że strona czechosłowacka będzie używać nazwy „konfederacja”, zaś strona polska „federacja”, ale obie będą to samo rozumiały pod tymi pojęciami, czyli to, co znaczy francuskie „confédération”.

Był to pierwszy oficjalny dokument strony czechosłowackiej. Beneš proponował, by Polska i Czechosłowacja pozostawały suwerenne w następującym układzie: własne głowy państw, parlamenty, rządy i armie, unia celna i monetarna, wspólna polityka w zakresie handlu i komunikacji, wspólna polityka zagraniczna (ale odrębne przedstawicielstwa dyplomatyczne w państwach trzecich), wojskowa, a więc jeden Sztab Główny, unifikacja i standaryzacja uzbrojenia oraz wyposażenia armii. Jako organ naczelny powołana miała być Rada (federalna) w składzie obu premierów, ministrów spraw zagranicznych, handlu, łączności — organ kierujący zasadniczymi sprawami polityki wewnętrznej i zagranicznej. Obok tego projektowano utworzenie organu złożonego z przedstawicieli obydwu parlamentów.

Beneš postulował podjęcie studiów i badań nad warunkami, w jakich mogą funkcjonować poszczególne dziedziny życia gospodarczo-społecznego obu państw, świadomie rezygnujących z elementów suwerenności w wykazanych zakresach, a nade wszystko proponował rozważenie wspólnej polityki zagranicznej, uważając, że najtrudniejszą kwestią będzie wspólna polityka wobec ZSRR, przy czym wiązał tę sprawę z przewidywaniem wybuchu rewolucji społecznej i ekonomicznej w obu krajach (także w Niemczech) i by uniknąć przemarszu Armii Czerwonej dla wsparcia rewolucji, należało „zapewnić porozumienie z Rosją na podstawie jakiegoś modus vivendi”, który trzeba negocjować.

Beneš przewidywał możliwość przyłączenia się innych państw śródziemnomorza do związku polsko-czechosłowackiego, zaś w sprawach bieżących proponował wzajemną wymianę informacji o wydarzeniach (w tym i w swoich państwach) politycznych i wojskowych, bojowy sojusz wojskowy na terytorium brytyjskim (to się już „automatycznie” działo od 1 września 1939 r. i dekretu Prezydenta RP o utworzeniu Legionu Czechosłowackiego na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej), stałą wymianę poglądów na temat pokoju, koordynację działalności informacyjno-propagandowej obu rządów etc., czym kierowałyby specjalnie utworzony komitet, złożony z odpowiedzialnych i upoważnionych osobistości pozostających w stałym kontakcie z szefami swoich rządów.

Przytoczyłem najważniejsze założenia z projektu Beneša, bo była to dobra podstawa do rokowań, przyjęta pozytywnie przez stronę polską i będąca odzwierciedleniem dotychczasowych ustaleń.

Zanim Sikorski dał odpowiedź, 11 listopada 1940 r. ogłoszono w brytyjskim Ministerstwie Informacji wspólną „deklarację polsko-czechosłowacką” (w języku angielskim!), w której o interesującej nas sprawie były trzy zdania (ale jakiego „formatu!”): „Polska i Czechosłowacja, zamykając raz na zawsze okres dawnych uraz i sporów i biorąc pod uwagę wspólność podstawowych swych interesów, zdecydowane są po ukończeniu wojny wejść ze sobą, jako państwa niepodległe i suwerenne, w ściślejszy związek polityczny i gospodarczy, który stałby się podstawą nowego porządku rzeczy w Europie Środkowej i gwarancją jego trwałości”. Stwierdzono dalej, że do tego związku przyłączają się inne państwa z tego regionu Europy.

Tekst polski, ogłoszony następnego dnia, jest jak widać, dość „toporny” w przekładzie z angielskiego, co znamionuje pośpiech, podyktowany nie tylko okolicznością daty Święta Niepodległości, ale, i to jest sedno sprawy, okolicznością wizyty W.M. Mołotowa w Berlinie! Deklaracja polsko-czechosłowacka była więc rezultatem nie tylko wzajemnych kontaktów obu państw, ale wyrazem stanowiska Wielkiej Brytanii wobec Europy środkowo-wschodniej, w której Ribbentrop z Mołotowem dokonali podziału „sfer interesów”, Włochy co dopiero napady na Grecję, a trwały dyplomatyczne zapasy o los Jugosławii, Rumunii i Bułgarii. Inicjatywa federacji polsko-czechosłowackiej była w tych okolicznościach próbą ratowania nie tyle suwerenności wspomnianych państw, ile próba „istnienia” polityki brytyjskiej w tej części kontynentu.

3 grudnia 1940 r., czyli po upływie miesiąca, gen. Sikorski zajął stanowisko wobec „Memorandum” Beneša, formułując w 10 punktach „Uwagi”. Generalną za najważniejszą sprawę uznał omówienie stosunku do ZSRR, czemu poświęcony był punkt 7, którego objętość równoważy pozostałą treść dokumentu. Majski miał co czytać! — chciałoby się zauważyć.

Sikorski z uznaniem przyjął pogląd Beneša, że przyszła konfederacja polsko-czechosłowacka winna mieć jak najlepsze stosunki z sąsiadami, i stwierdził, że nie zamierza kontynuować obecnej polityki wobec ZSRR. Podkreślił, że poprawność stosunków może zapewnić tylko siła i nie nastąpi to wcześniej „dopóki

Ciąg dalszy na str. 8

FEDERACJA Z CZECHOSŁOWACJĄ...

Ciąg dalszy ze str. 7

Rosja nie ujrzy w centrum Europy solidnego bloku, utworzonego przez Polskę i Czechosłowację, bloku, z którym musiałaby się liczyć jak z poważnym partnerem". Zaś dalej tę myśl rozwijał i uzasadniał: „Polityka rosyjska zawsze dawała dowody realizmu i braku skrupułów ideologicznych [...]. Należy się obawiać, że z chwilą klęski Niemiec Rosja może zechcieć skorzystać z okazji, aby ustalić komunistyczne reżimy nie tylko w Warszawie i Pradze, ale nawet w Berlinie, to znaczy u bram Europy Zachodniej. [...] I nie sądzę, aby pojedynczo, a nawet potulne stanowisko naszych obu Rządów mogło powstrzymać Rosję na tej drodze ekspansji”.

To „credo” polityczne Sikorskiego (a swoją drogą zdumiewa niewiarygodna zdolność przewidywania, której to umiejętności nieraz odmawiano polskiemu premierowi) zdecydowanie inaczej interpretowało stosunki ze Związkiem Radzieckim, aniżeli pojmował je Beneš. I to była różnica podstawowa u kolebki federacji polsko-czechosłowackiej.

W innych kwestiach Sikorski wypowiadał się bardzo zbieżnie z poglądami Beneša, przy czym wyodrębnił pewien „okres przejściowy” dla wzajemnego dostosowania się różnych dziedzin życia gospodarczo-społecznego obu państw.

Beneš odpowiedział 23 grudnia, stwierdzając z zadowoleniem taką zgodność poglądów, nalegał na szybkie podjęcie rozmów na podstawie obu dokumentów i jedynie zastrzegł, że w kwestii wyjaśnienia stosunku do ZSRR zamierza ustnie lub pisemnie przedstawić swój punkt widzenia. Doszło do tego w trakcie rozmów obu mężów stanu w Ashton Abbots (26-27 stycznia 1941 r.), a wymianę poglądów na ten temat prowadzono potem jeszcze korespondencyjnie, przy czym na wiosnę 1941 r. powstała z tego konkluzja, że kwestie stosunków z ZSRR obydwaj państwa będą rozstrzygać z udziałem USA i Wielkiej Brytanii. Był to więc niewielki postęp w zbliżeniu stanowisk, przy jednoczesnym „umiędrzynarodowieniu” wzajemnych stosunków (dwustronnych) pomiędzy ZSRR, a obecnymi i przyszłymi sygnatariuszami układu.

Jeszcze trudniej było wyjaśnić problemy graniczne polsko-czechosłowackie z ich hasłem wywoławczym — „Zaolzie”. Dopóki nie było wspomnianej wyżej deklaracji z 11 listopada 1940 r., kwestia to pozostawała w cieniu. Teraz nastąpił frontalny atak ze strony czechosłowackiej na politykę płk. Becka, czyli pośrednio tyłczyło to aneksji Zaolzia, na co Sikorski odpowiedział listem z 10 lutego 1941 r. na temat niewzruszonej integralności terytorialnej Rzeczypospolitej według granic z 1 września 1939 r., co adresat właściwie odczytał i odpowiedział twarzą: „Nie uznajemy niczego, co stało się po 19 września 1938 r., ponieważ to wszystko było wymuszone gwałtem i niedotrzymaniem umów i nigdy nie będzie zatwierdzone”, choć zastrzegł, że precyzowanie ostatecznych stanowisk w sprawach granicznych jest przedwczesne. Zgodził się z tym Sikorski w liście z 25 lutego. Korespondencja, jak widać, była intensywne.

Pomimo, zdać by się mogło, zasadniczej kontrowersji między obu politykami, już 31 stycznia 1940 r. podjął działalność mieszany „Komitet Koordynacyjny” oraz komisje i inne komitety robocze, drążące szczególne sprawy wyłożonych w „Memorandum” i „Uwagaoh” a obok tego nastąpiło wyraźne ocieplenie we wzajemnych stosunkach obu „rządów londyńskich” w dziedzinie dyplomatycznej i polityczno-informacyjnej, zaś pod niebem Anglii piloci obydwu narodów (któż nie pamięta podpułkownika Františka, bohatera z Dywizjonu 303, kawalera „Virtuti Militarii”), a wkrótce artylerzyści i piechota w okopach pod Tobrukiem tworzyli nowy rozdział wspólnej historii.

NYN rozdział tejże historii rozpoczął się z chwilą przystąpienia ZSRR do koalicji antyfaszystowskiej. Związek Radziecki stał się nowym aliantem-partnerem. Już 18 lipca 1941 r. Beneš podpisał stosowny układ, Sikorski uczynił to 30 lipca, nie bez znanych trudności, zakończonych(?) kryzysem rządowym.

Z tych nowych okoliczności dla omawianej kwestii ważny jest fakt, że odszedł zastępca premiera — gen. Kazimierz Sosnkowski, równocześnie przewodniczący Komitetu Politycznego Rady Ministrów, minister do spraw Kraju oraz ze strony polskiej współprzewodniczący Komitetu Koordynacyjnego. Z tego Komitetu odeszli także dwaj inni reprezentanci strony polskiej, a to minister spraw zagranicznych A. Zaleski i minister sprawiedliwości M. Seyda, czyli został tylko jeden delegat polski, E. Raczyński, zaś przygotowany jeszcze w maju 1941 r. dokument, zwany „Aktom konstytucyjnym konfederacji”, został doręczony stronie czechkiej w listopadzie. Wtedy podjęto dyskusję nad zasadami konstytucyjnymi planowanego związku obu państw. Był to jeden nurt biegu spraw — prac przygotowawczych. Drugi stanowiła wciąż trwająca korespondencja pomiędzy Benešem i Sikorskim albo między Hubertem Ripką i Stanisławem Strofakim.

Komitet Koordynacyjny w latach 1941-1942 zebrał się sześciokrotnie (pomimo wspomnianego kryzysu politycznego), zaś od 4 listopada 1941 r., od czwartego posiedzenia, stronę polską reprezentowali w nim: wicepremier i minister spraw wewnętrznych Stanisław Mikołajczyk, minister informacji i dokumentacji S. Strofak, minister skarbu, przemysłu i handlu

Dokończenie na str. 9



Fot. Waldemar Stępień

100 tysięcy gospodarstw

tara (średnia dla Polski wynosi 332 kwintale z ha). Radość mija, kiedy porówna się te wyniki z przeciętnymi zbiorami na Zachodzie. Nad Renem zebrali 510 kwintali. I tak jest ze wszystkim. RFN, mając najgorsze warunki glebowo-klimatyczne, osiąga najlepsze plony w Europie. Gdyby ich wsie obdzielić naszymi czarnoziemami, to z nadwyżek wyżyliby niejedyn wschodni kraj starego kontynentu.

A u nas nikt nie śpieszy się do uprawiania jednych z najlepszych ziem w Polsce. Niespełna 4 procent rolników nie przekroczyło 30. roku życia, a 30 procent osiągnęło wiek emerytalny. Na jedno nowe powstające gospodarstwo dwa są likwidowane. Chłopi, słysząc o opłacalności produkcji, dostają drgawek i rozglądają się za kosą. Nikt przecież nie będzie w nieskończoność dopłacał do różnych eksperymentów gospodarczych, nawet gdyby były najładniejsze.

Chłopska ekonomia

W 1989 roku wzrosły ceny produktów rolnych. Nastąpiło znaczne ożywienie i zainteresowanie intensyfikacją produkcji. Chłopi oblegli punkty kopulacyjne świń i bydła, a para prosiąt na targu stała się prawdziwym rarytasem. Zaczął się bój o maszyny rolnicze, nawozy, pasze i środki ochrony roślin. Zmiana systemu emerytalnego rolników umożliwiła im uzyskanie świadczeń także w przypadku sprzeda-

SKÓROWANIE

Zbigniew Dzieciołek

Od migającego światła chłopom troi się w oczach. Jak w dyskotecie. Tyle że do tańca zabrakło chętnych. Zamiast lambady zagrali żałobnego marsza.

Ziemia tu urodzajna

W RFN „wyciągają” ponad 50, w Wielkiej Brytanii 55, w Polsce 32, a w województwie lubelskim 31 kwintali zboża z jednego hektara. Najlepsze gminy dochodzą do 40. To już sukces na miarę mistrza gospodarstwa. Sensacja na pierwsze strony gazet. Dyplom, nagroda, dożynkowy splendor i... 300 tys. ton darmowego zboża z Zachodu w ramach pomocy żywnościowej dla Polski. Gdyby Zachód zażądał zapłaty, to 35 mln dolarów powędrowałoby do krajów EWG. Po przeliczeniu zielonych na złote wychodzi, że za kwintal trzeba by dać 116 700 zł, przy średniej cenie zboża w kraju 80 tys. zł (motowalia styczniowe).

Zastępca dyrektora Wydziału Rolnictwa Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie, Józef Golec, mówi, że lubelskie znajduje się na ósmym miejscu w kraju pod względem warunków glebowych. Prawie 53 procent ziemi uprawnej zakwalifikowane jest do I, II i III klasy gruntów. Czyli że przeszło 200 tys. hektarów pól powinno sypać zbożem jak z rogu obfitości. A nie sypie i sypać nie będzie. Osiągana produkcja towarowa z jednego hektara użytków rolnych sytuuje województwo na 28 miejscu w Polsce. W „dobrych” latach sięgano tutaj po 100 tys. ton zboża rocznie, bo własne plony nie zaspokajały potrzeb ludności. 100 tys. gospodarstw chłopskich nie było i nie jest w stanie wyżywić miliona mieszkańców Lubelszczyzny!

W Wydziale Rolnictwa cieszą się z udanych zbiorów buraka cukrowego. Obrodziło jak nigdy. Będzie cukier. Będzie dużo cukru (6-7 tys. zł za kilogram). Tłusty rok 1989 przyniósł 405 kwintali z jednego hek-

ty lub darowizny innym osobom niż prawni następcy. Spowodowało to zahamowanie o 50 proc. w stosunku do 1988 r. przekazywania gospodarstw na skarb państwa. Ziemia stała się towarem poszukiwanym.

Bomba wybuchła po pierwszym styczniu 1990 roku, kiedy zaczęto wprowadzać w życie „plan Balcerowicza”. Wcześniejsze rządowe zapowiedzi nowego oprocentowania kredytów spowodowały, że chłopci w województwie lubelskim do końca grudnia ub.r. spłacili przed terminem ponad 4 miliardy złotych. Tych „tórzy nie zdążyli, „dopadli” 40-procentowe odsetki w skali miesięcznej. Za każdy pożyczony milion będą musieli oddać po roku 6 mln zł.

„Nie dobili nas komuniści — mówią chłopci — to swoi obędrą nas żywcem ze skóry. Ceny środków do produkcji rolnej wzrosły 10-50-krotnie, a ceny naszych produktów 1-2-krotnie. Rozumiemy, że reformy nie przeprowadzi się bez wyrzeczeń, ale niech jej ciężar będzie rozkładany równomiernie”.

Chłop sprzedaje raz do roku. Stąd obrót pieniądza jest znacznie wolniejszy niż w przemyśle. Nikt przecież nie popędzi świni, żeby szybciej rozdziła prosięta, nie przyspieszy dojrzewania pszenicy. W gospodarce wszystko ma swój czas, a obecne oprocentowanie kredytów wygląda tak, jakby krowa cielila się dwa razy w miesiącu. Jeszcze w grudniu za 5555 kg żywca wołowego można było kupić ciągnik C-330, po styczniowej podwyżce cen traktorów i żywca za ten sam ciągnik trzeba dać ponad 9 tys. kg żywej wołowiny. W każdym gospodarstwie musiałaby z dnia na dzień pojawić się dodatkowo jedna krowa i to nie tylko ze względu na proporcjonalnie niską cenę mięsa. C-330 w przeliczeniu na mleko kosztował 26 846 litrów. Przy obecnej cenie krowy musiałaby dwukrotnie zwiększyć swą mleczność.

Ludzie na wsi mówią, że reforma Balcerowicza wygląda tak, jak skok do basenu, w którym nie bardzo wiadomo, czy jest woda. Będzie, to dobrze, nie będzie, to...

Efekt melodramy, czyli publiczność lubelska

ZESŁAŃCY

Henryk Sobiechart

MIASTO Gorki znane jest przede wszystkim jako miejsce zsyłki Andrieja Sacharowa, człowieka, który w swej młodości dał rosyjskim satrapom bombę wodorową, by w wieku dojrzałym wybrać naród i stać się na koniec jego sumieniem. Miasto liczy dziś przeszło milion, w większości Bogu ducha winnych, mieszkańców. Założone w roku 1221, do lat trzydziestych naszego stulecia nosiło nazwę Niżni Nowogród. Do dziś zachowało ślady dawnej kultury: kreml, zbudowany na początku XVI wieku, kilka soborów i zabytkowych cerkwi. Klasykistyczne domy i budynki użyteczności publicznej są spuścizną wieku XIX, gdy mia-

sto było miejscem słynnych targów międzynarodowych. Jest też państwowe muzeum sztuki. I tam trzeba co rychlej skierować nasze zainteresowanie, bowiem w jego zbiorach znajduje się eksponat nieobojętny dla Polaka, a szczególnie mieszkańca Lublina: obraz Feliksa Pęczarskiego zatytułowany tam „Efekt melodramy”, a u nas znany z reprodukcji pod nazwą „Publiczność lubelska w 1835”.

Feliks Pęczarski, malarz głuchoniemy, żył w latach 1804-1892. Był wychowankiem Instytutu Głuchoniemych w Warszawie. Studiował malarstwo na Oddziale Sztuk Pięknych uniwersytetu. Potem w

nie może wyżywić miliona ludzi

Od wylizania dwoi i troi się chłopom w oczach, a kieszenie zięją przeraźliwą pustką. Zrezygnowali z traktorów i nikt już dzisiaj nie dobija się do drzwi gabinetu naczelnika, nie wydeptuje dywanów w urzędzie wojewódzkim. Ceny skutecznie ostudziły ich zapal do mechanizacji gospodarstw. Nikt też nie myśli o podnoszeniu i tak marnej wydajności z hektara. Bo i jak. Mleko na skupie ani drgnęło, a np. superfosfat potrójny z 8712 zł za kwintal „skoczył” na 130 tysięcy złotych (to dopiero cena zbytu w fabryce, ile będzie kosztował w detalu?), fosforan amonu z 12 tys. na 178 tys. zł.

Jak by liczyć, urynkowanie dla chłopów wygląda na razie tak, jakby mu zdjęto kajdany razem z butami. Weźmie się za hodowlę świń, na każdym kilogramie sprzedanego żywca straci 1500 zł (koszt produkcji — 7 tys. zł, cena skupu — 5500 zł), przetrzuci się na krowy, „zarobi” jeszcze więcej, bo już 2,5 tys. zł, a mleko odda za pół darmo (koszt produkcji tysiąc złotych za 1 litr, cena w zlewni 400 zł).

Rolnictwo działa na zasadzie naczyń połączonych. Mniejsze zużycie nawozów i środków ochrony roślin, to niższe zbiory zbóż, buraków cukrowych i ziemniaków, a niższa wydajność z hektara spowoduje zmniejszenie produkcji zwierzęcej. Już obecne straty w pogłowie bydła i świń w stosunku do końca lat 70. sięgają ponad 20 proc. Zeby je zniwelować, potrze-

tają chłopom, w sytuacji kiedy kiełbasy, wędzonki i rąbanek zalegają półki sklepowe, zakłady mięsne nie obniżają ceny swoich wyrobów, tylko wstrzymują skup? Kto policzy straty na przekarmianiu świń?

Są skazani na monopol, a tym, którzy zachęcają ich do budowy małych masarni i rzeźni, odpowiadają krótko: „Sam se wybuduj, jak masz pieniądze”. Przy 40-procentowym kredycie można najwyżej wykopać łopatami dół pod przyszły fundament. Nie wiadomo tylko, co budować: masarnie czy piekarnie? Bo cena jałowki w klasie I za jeden kilogram (klasy wyższe to A i E) wynosi 2700 zł, czyli tyle, ile bochenek chleba. Ceny puszczane na dziko, bez wcześniejszej reformy monopolu państwowego, prowadzą właśnie do takich paradoksów.

Pośrednicy między wsią a miastem to zwykli złodzieje, twierdzi Sławomir Chmiel, przewodniczący NSZZ „Solidarność” Rolników Indywidualnych w Fajslawicach. Gdyby nie oni, żywność byłaby o wiele tańsza. Liczy 1 kg mąki tortowej kosztuje w sklepie 3,5 tys. zł. Chłop na skupie dostaje 80 tys. zł za kwintal pszenicy, z którego można by otrzymać 60 kg takiej mąki. Koszt zmielenia tegoż kwintala wynosi 8 tys. zł. Wychodzi więc 88 tys. zł za 60 kg mąki, a dodatkowo zostaje 40 kg otrąb (500 zł za 1 kg) na paszę dla zwierząt. Jednak po drodze do

miasta mąka drożeje trzykrotnie. No to kto temu winien? Chłop?

Mówią: Na burakach cukrowych tną nas bez opamiętania. Mało tego, że wymyślają dziadowskie ceny za kwintal, to jeszcze płacą dopiero po 2—3 miesiącach, a w tym czasie inflacja zjada połowę zysku. Albo mleko. Na skupie dają 400 zł za litr. W sklepach, niby pełne, już po odciążeniu części tłuszczu, kosztuje 1400 zł. Gdybyśmy my tak żyłowali ceny, to ludzie by nas ukamienowali. Reforma reformą, ale niech będzie w tym wszystkim jakiś porządek, żeby chłop wiedział, czego się spodziewać i jak urządzać gospodarstwo. Na dzisiaj np. nie wiadomo, ile mamy oddać państwu, bo część z nas przestała być rolnikami, mając mniej niż 1 ha gruntu.

Podpadają więc pod inne podatki, a zamiana hektarów fizycznych na przeliczeniowe trwa. Jeżeli dalej będzie taki bałagan i windowanie cen na środki produkcji, to chłop sprzeda inwentarz, pieniądze włoży na książeczkę i będzie żył z procentu.

Nawet w zapowiadany od lutego tańszy kredyt już nie wierzą. Bo weźmie się w lutym, a w marcu znowu ktoś powie, że to nie tak, że jeszcze trzeba wrócić do starych zasad. Po co im w takim razie komasacja ziemi (średnio jedno gospodarstwo w gminie Fajslawice składa się z 9 kawałków), melioracja gruntów, kiedy z tygodnia na tydzień można stracić kilka milionów złotych. Każdy gospodarz musi wiedzieć, na czym stoi. Inaczej nie zainwestuje ani złotówki.

Do przewodniczącego chłopskiej „Solidarności” w Fajslawicach przyszedł niedawno jeden z okolicznych rolników i powiedział: „Za rządów pezetpeetu nikt nie skubał tak wsi do żywego. Oj, teraz, niby swoi, a gorsi niż komuniści”.

I jak go przekonać, że ma być lepiej?

Stan na dzień 26.01.1990 r.

NA ŻYWCA

ba nam kilku lat dodatkowych nakładów na rolnictwo. Przy obecnym tempie reformy i dekada nie wystarczy, a dobry wujek z Zachodu przestanie w końcu przysyłać darmową pszenicę i żyto.

Taka gmina

Fajslawice to dobra gmina. W pokoju naczelnika Rogowskiego wiszą na ścianach dyplomy mistrza gospodarstwa. Średnio z hektara osiągają tutaj 36 kwintali zbóż, a niektórzy chłopom przy kompleksowej technologii upraw zbierają i 60 q z hektara. Czyli że nie istnieje niemiecki cud rolniczy, a jedynie solidna gospodarka chłopska. Tym bardziej, że ponad 80 proc. ziemi w gminie nie przekroczyło III klasy. Ale gospodarze patrzą i liczą. Zboże to coraz marniejszy interes. Przy 40 q zboża z hektara, mówił Stanisław Rogowski, można otrzymać na skupie 3200 tys. zł, licząc kwintal po 80 tys. zł. Jeżeli zaś posadzi się majeranek, zyski będą czterokrotnie większe. Nic więc dziwnego, że prawie 500 ha ziemi obsiane jest w Fajslawicach ziołami.

W całej gminie nikt nie prowadzi żadnej hodowli. Ot, jedna, dwie krowy, kilka sztuk świń i tuzin kur. To cały inwentarz gospodarski. Chłopi wzięli na wstrzymanie i ani myślą o pomnażaniu przychówku. Budowane w latach 80. obory świecą pustkami. Nikt przy zdrowych zmysłach nie weźmie takiego kredytu na prosięta, bo żeby go spłacić, trzeba by później sprzedać świnię razem z chlewnią.

Ludzie w mieście, mówią w Fajslawicach, uważają, że to chłop śrubuje ceny na skupie i dlatego wszystko jest takie drogie. Bzdura! Wystarczy sięgnąć do czasów przedwojennych, kiedy to za 2 kg żywca można było kupić jeden kilogram tzw. rozmałości. A dzisiaj? Przy cenie skupu żywca wieprzowego 5500 zł za kg szynki kosztuje w Lublinie 40 tys. zł, lepsza kiełbasa 20 tys. zł. Dlaczego, py-

Instytucie Głuchoniemych znalazł zatrudnienie jako nauczyciel rysunku. W 1831 roku, chcąc całkowicie poświęcić się twórczości malarzkiej, zwolnił tę posadę, aby rozpocząć wędrowki po prowincji, gdzie malował obrazy na zamówienie. Wielokrotny udział w wystawach przyniósł mu sporo medali i wyróżnień i doskonałe oceny krytyki. W latach 1834—39 przebywał w Lublinie, często też w Kazimierzu. I z tego właśnie okresu pochodzi olej „Publiczność lubelska”, świadectwo wcale nie skromnej tradycji teatralnej naszego miasta.

Twórczość Pęczarskiego obejmuje malarstwo religijne, m. in. dla lubelskiego kościoła Dominikanów, a także portrety mieszczan i ziemian utrzymane w stylu mistrzów holenderskich z XV—XVII wieku. Szczególne jednak miejsce na tle polskiej sztuki okresu międzywojennego zajmują jego obrazy rodzajowe, o niezwykłym drapieżnym charakterze. „Szulerzy przy świecy”, „Lichwiarz”, „Gracze w karty” — mroczny światek indywidualów przerysowanych w geście i mimice aż do groteski. Z powodu społeczno-satyrycznego zacięcia współczesna krytyka uważała ich twórcę „Polskim Hogartem”.

Co to wszystko mówi dzisiejszemu zwyktemu „zjadaczowi chleba”, niezbyt biegłemu w historii sztuki? Gdyby malował nas, robiłby to zapewne tak jak powiedzmy... Jerzy Duda-Gracz. Dosadna charakterystyka ludzkich typów tworzy jakąś osobliwą, groźną metaforę, szczególnie widoczną w zbiorowym portrecie publiczności lubelskiej, obrazie uwikłanym tematycznie i niesamowitym w swej ekspresji. Lubelski teatrolog Stefan Kruk uważa, że sportretowany tłumek to uboga publiczność galerii teatru zimowego, lub, jak kto woli, teatru „Starego” na Jezuitkiej, ostatnio kina „Staromiejskiego” — cennego zabytku, który dogorywa na naszych oczach.

Sądzę, że warto, aby ten interesujący obraz znalazł się z powrotem w kraju i uzupełnił zbiory Muzeum na Zamku lubelskim. Bez wątpienia tu jest jego miejsce. I jest po temu stosowny moment. Władze polskie czynią właśnie rozległe starania o zwrot wielu skarbów polskiej kultury znajdujących się w ZSRR. Warto zadbać, aby nie ominięły one „Publiczności lubelskiej”.

Z cudzysłowem — i bez.

FEDERACJA Z CZECHOSŁOWACJĄ...

Dokończenie ze str. 8

Henryk Strasburger oraz minister Karol Popiel, zaś czzechosłowacką: H. Ripka, J. Slavik, L. Faierabend, F. Nemeš i J. Sransky. Odszedł z pierwotnego składu J. Masaryk, minister spraw zagranicznych.

W celu prowadzenia studiów utworzono wspólne komitety robocze: polityczno-prawny, gospodarczo-finansowy, polityki społecznej, wojskowy i współpracy kulturalnej, a obok tego dla spraw bieżących powołano Komitet Wojskowy, Propagandy oraz Spraw Zagranicznych. Organa te pracowały z różną intensywnością, ale ze stałym postępem w opracowywaniu szczegółów porozumień, bądź w formułowaniu stanowisk i opinii stron w danych kwestiach jako podstawa do dyskusji w ramach Komitetu Koordynacyjnego czy w obrębie korespondencji między stronami.

Uwagę stron skupiły polskie dokumenty: „Zasady aktu konstytucyjnego” oraz „Tezy konstytucyjne”, których naczelną ideą było zbudowanie jedności obu państw na bazie unifikacji politycznej i gospodarczej. O ile ta pierwsza — polityczna — była trudna do akceptacji przez stronę czzechosłowacką (bowiem byli tu „stroną” i Czesi i Słowacy) o tyle druga budziła obawy Polaków ze względu na możliwości ekspansji przemysłu czeskiego. Były to jednak sprawy negocjowane.

Sumując, można stwierdzić, że wypracowane przez obydwie strony dokumenty znacznie wyprzedzają wszelkie powojenne projekty integracyjne w Europie, i to zarówno w kwestiach gospodarczych, jak i politycznych. To wspólne dzieło polsko-czechosłowackie wyprzedziło współczesną nam teorię stosunków międzynarodowych o dobre ćwierć wieku!

19 stycznia 1942 r. Komitet Koordynacyjny przyjął kompromisowy dokument przysięgi konfederacji Polski i Czechosłowacji, co potwierdzono wzajemnym układem parafowanym 23 stycznia 1942 r. Brakło w tym układzie rozwinięcia poszczególnych zagadnień. Był ogólnikowy, ale był i w historii pozostał.

PODOBNIEMIE w historii pozostały polskie wysiłki dyplomatyczne, by do tego układu dołączyć inne państwa Europy środkowo-wschodniej. Już bowiem od jesieni 1940 r. trwały rozmowy z Węgrami, także z opozycją węgierską, w czym ogromną rolę odegrała polska służba dyplomatyczna w kilku stolicach. Tuż przed śmiercią gen. Sikorski (narady w Bejrucie z M. Sokolnickim, 24 — 27 czerwca 1943 r.) zebrał w całość koncepcję federacji środkowoeuropejskiej już ze zdecydowanym udziałem Węgier.

W Poselstwie RP w Bernie sporządzono 23 stycznia 1943 r. projekt wspólnej deklaracji polsko-litewskiej, będący „aktem litewskiej samoobrony”, jak ją określił pełnomocny poseł litewski, Balutis.

Politycy polscy wypracowali w Londynie koncepcję „wieloblokowej” odbudowy powojennej Europy w postaci pięciu ugrupowań regionalnych — bloków, a to: Polska, Czechosłowacja, Litwa, Węgry i Rumunia (środkowoeuropejski), Francja, Włochy, Hiszpania, Portugalia (śroziemnomorsko-latyński), Belgia, Holandia, Luksemburg, Dania, Norwegia, Szwecja (północna Morza Północnego), Jugosławia, Grecja, Bułgaria, Albania (balkański), Niemcy i Austria (niemiecki). Koncepcje tych bloków były w różnym stopniu opracowane i sprawy te prowadzono równocześnie z rokowaniami polsko-czechosłowackimi. Zaś układ jugosłowiańsko-grecki (15 stycznia 1942 r.) został oceniony jako ciąg dalszy konfederacji polsko-czechosłowackiej i zaczątek bloku bałkańskiego.

W Stanach Zjednoczonych podjęty działalność na rzecz federacji organizacje wychodźcze i amerykańskie. bowiem w marcu 1942 r. w Chicago otwarto Instytut Polsko-Czechosłowacki, zaś w Nowym Jorku — Central Eastern European Planning Board oraz Institute of Educational Reconstruction in Central Eastern Europe. Instytucje te utrzymywały kontakty z komitetami federacyjnymi, polsko-czechosłowackim i jugosłowiańsko-greckim.

Takie były obiecujące początki. A co potem? Po tem była konferencja ministrów spraw zagranicznych „Wielkiej Trójki” w Moskwie 19—30 października 1943 r., na której Władysław M. Mołotow zdecydowanie wystąpił przeciwko wszelkim planom federacyjnym. Natychmiast poparł go gorący sekretarz stanu USA, Cordell Hull. Mołotow więc utracił ideę, a jej pogrzeb rozpoczęła Armia Czerwona, gdy nocą z 3 na 4 stycznia 1944 r. przekroczyła przedwojenną granicę wschodnią Rzeczypospolitej — pierwszego państwa zamierzonej federacji.

Potem były jeszcze Teheran, Jalta, Poczdam i praktyczna lekcja stalinowskiego modelu federalizmu środkowoeuropejskiego pod nazwą „obóz państw socjalistycznych”, lekcja zadana narodom pośpołu przez „Wielką Trójkę” z wyznaczonym nauczycielem, W.M. Mołotowem.

CZY dalsza odbudowa państwowego, racjonalnego układu politycznego w krajach Europy środkowo-wschodniej powiązana zostanie z ideą federacji, czy zwyciężą inne koncepcje — czas pokaże... Warto jednak sięgnąć do doświadczeń sprzed pół wieku, bowiem drzwi do zjednoczonej Europy zostały wtedy uchylone, głównie polskimi rękami. Może tych drzwi nie trzeba teraz wyważać z hukiem propagandy, a raczej na początek zająć się odkrywaniem rzeczy tylko przykurzonych w archiwach, ale obecnych także w literaturze naukowej i w opublikowanych dokumentach dyplomatycznych.

Mieczysław Wieliczko



Fot. 1



Fot. 2



Fot. 3



Fot. 4



Fot. 5



Fot. 6

„Cichociemni» na Lubelszczyźnie» FOTO-POSTSCRIPTUM (2)

Tadeusz Chwałczyk

Do kwietnia 1944 roku „Cichociemni» przerzucani byli do Polski wyłącznie na spadochronach. W ten sposób trafił też do kraju sierżant łączności Piotr Nowak ps. „Okno» (fot. 1), lądując w nocy z 19 na 20 lutego 1943 roku na placówce odbiorczej „Pies» w powiecie opoczyńskim. Już w Anglii uważany był za jednego z najlepszych radiotelegrafistów, o czym świadczy zaangażowanie go do centrum łączności z krajem, zlokalizowanego w Stanmore, a następnie wytypowanie do obsługi radiostacji w ambasadzie polskiej w Kujbyszewie. Na placówkę tę jednak nie poleciał, gdyż zdecydował się na przetrzucie do okupowanej Polski.

Piotr Nowak odegrał istotną rolę w operacji określanej kryptonimem „Most», co zupełnie pominięto w cyklu publikacji pt. „Cichociemni» na Lubelszczyźnie». Pod kryptonimem „Most» zaszyfrowano pierwszą w czasie wojny operację lądowania samolotu angielskiego na terenie Polski zajętej przez Niemców.

Po „wpadce» w Warszawie Piotr Nowak musiał zniknąć ze stolicy. Zaproponowano mu wyjazd do Wilna albo do Lublina.

— Pomyślałem — jak wyznał po latach — że jednak z Lublina bliżej do Warszawy.

I tak w grudniu 1943 roku trafił do naszego miasta. Praca na radiostacji była jednak w Lublinie bardzo utrudniona ciągłym namierzaniem jej przez Niemców. Przerzucono więc Nowaka wraz z radiostacją do operującego naj-

częściej w rejonie Bełżyc oddziału AK, dowodzonego przez Stanisława Łukasika ps. „Ryś». Oddział ten widziemy na fot. 2. W centrum zdjęcia, z akordeonem dowódca (oznacz. 1), a wokół jego żołnierze z radiotelegrafistą „Okno» (oznacz. 2).

Wkrótce po Nowym Roku (1944) Piotr Nowak otrzymał polecenie nawiązania łączności z radiostacją nr 94 o kryptonimie „Jutrzenka», znajdującą się... we Włoszech.

— Pamiętam — wspomina — że miałem taki dobry kwarc o częstotliwości 6525 kilocykli. W określonym dniu, zgodnie z ustaleniem, tuż po zakończeniu południowego dziennika z Londynu, wywołałem znakami Morse'a stację nr 94 i nawiązałem łączność z „Jutrzenką» w Italii (fot. 3).

Za to połączenie Piotr Nowak otrzymał potem Krzyż Walecznych i stał się jednocześnie pierwszym ogniwem całego łańcucha zdarzeń w operacji „Most». Przeprowadzona ona została w nocy z 15 na 16 kwietnia 1944 roku na lądowisku „Bak», położonym w trójkącie pomiędzy Matczynem, Pawlinem i Babimem. Samolotem „Dakota» przyleciało wówczas z Brindisi we Włoszech dwóch „Cichociemnych» — rotmistrz Narcyz Łopianowski ps. „Sarna» i podporucznik broni pancerniej Tomasz Kostuch ps. „Bryła» (fot. 4). W drogę powrotną natomiast wyruszyło samolotem pięciu przedstawicieli Polski podziemnej z gen. Stanisławem Tatarskim ps. „Tabor» na czele. Na pokładzie znaleźli się także niewielki pakunek, zawierający wyhaftowany w

kraju sztandar dla I Samodzielnej Brygady Spadochronowej gen. Sosabowskiego.

WNIESPĘLNA miesiąc po Nowaku zrzucony został do kraju (z 13 na 14.03.43 r.) podch. Czesław Rossifski ps. „Kozioł», „Jemiola», jednak nie w operacji „Stocik» na placówkę „Koc» — jak napisał p. Wojciech Kozłowski — a w operacji „Tyle», której skoczkiem przyjmowała „Olcha», położona 15 kilometrów na płn-zach. od Koniczyna. Czesława Rossifskiego widzimy na zdjęciu (fot. 5 — trzeci od lewej) w otoczeniu dowódców działających na Lubelszczyźnie oddziałów AK. Zdjęcie to wykonane zostało 23 lipca 1944 roku podczas koncentracji w Polanówce koło Lublina, na dzień przed rozbrojeniem przez Armię Radziecką.

KROTKO przed wspomnianą operacją „Most» przybył do kraju na spadochronie plutonowy lotnictwa Albin Łakomy ps. „Twornik» (fot. 6). Oprócz niego w ekipie zrzuconej w nocy z 9 na 10 kwietnia 1944 roku na placówkę „Koc» pod wsią Nieporęt, było dwóch oficerów — saper i młynarz (!) — oraz kolega „Twornika», również podoficer lotnictwa, st. sierż. Edward Kowalik ps. „Ciupus».

W tym miejscu niezbędne jest drobne sprostowanie dotyczące osoby plut. Łakomego. Był on przed wojną rzeczywistym podoficerem zawodowym 2 Pułku Lotniczego w Krakowie, ale nie... pilotem. Nie mógł więc latać podczas kampanii francuskiej w kluczu

„ODDAJE GŁOS PANI MINISTER”

Dokończenie ze str. 1



Fot. 7

myśliwskim kpt. Opulskiego, jak to napisał p. Kozłowski. Nie ma zresztą Łakomego w wykazie 129 pilotów myśliwskich walczących we Francji ani wśród personelu latającego w 308 dywizjonie myśliwskim w Anglii.

Albin Łakomy ukończył w 1932 roku bydgoską Szkołę Podoficerów Lotnictwa dla Małoltnich w specjalności radiotelegrafisty i jako taki latał w 300 dywizjonie bombowym w Anglii, mając numer ewidencyjny RAF — P 784516. Po zrzucie był też najpierw radiomechanikiem w sieci radiowej Wydz. Lotniczego KG AK, a następnie skierowany został na Lubelszczyznę.

WARTO odnotować także, iż w dwa dni po skoku plut. Łakomego pod Warszawą, nastąpił pierwszy zrzut „Cichociemnych” na Lubelszczyznę. W nocy z 12 na 13 kwietnia 1944 roku, na placówce „Mysz” położonej koło Płuszwowic, wylądowało trzech „Cichociemnych” i kurier polityczny. Na wypadek braku kontaktu z placówką odbiorczą mieli oni podane adresy konspiracyjne Adama Bakiera w Tomaszowicach i Józefa Wrony w Płuszwowicach.

NATOMIAST w nocy z 27 na 28 kwietnia 1944 roku, na placówce „Kozia” (15 km na poł. od Lublina) wylądowała 4-osobowa ekipa złożona wyłącznie z oficerów lotnictwa. Zadaniem ich było opanowanie w odpowiednim momencie, zajętych przez Niemców lotnisk, m.in. w Warszawie i w Deblinie.

Był w tej ekipie kpt. pil. Jerzy Iszkowski ps. „Orozyk”, „Kord” (fot. 7), postać niezwykle barwna, od najmłodszych lat po ostatni dzień życia związany z lotnictwem.

Kapitan Iszkowski po kampanii wrzesniowej, w której już wykonywał zadania specjalne, latał bojowo we Francji, a po jej upadku dwukrotnie podejmował próby — niestety udaremnione przez Francuzów — przełączenia samolotem do Anglii, dokąd w końcu dotarł drogą morską. Był potem pilotem w 304 dywizjonie bombowym, aby następnie odbyć przeszkolenie jako „lotniczy komandos”. Prowadziła je specjalna, głęboko utajniona jednostka, w której piloci (w tym kilku Polaków) poznawali tajniki konstrukcyjne i pilotażowe samolotów niemieckich zdobytych przez Anglików. „Komandosi” ci mieli — po zrzuceniu do krajów okupowanych — opanowywać lotniska wroga i uprowadzać wybrane samoloty.

Inaczej niż zakładano potoczyły się jednak losy młodego Iszkowskiego w kraju. Po wojnie wrócił na rodzinną Sudecczyznę, gdzie poświęcił się działalności w lotnictwie sportowym. Fałszywie oskarżony o szpiegostwo, skazany został na karę śmierci, zamienioną na długoletnie więzienie, które opuścił w 1956 roku. Zmarł w 1962 roku w Nowym Sączu.

W EKIPIE ostatnich „lubelskich Cichociemnych”, zrzuconych w nocy z 4 na 5 maja 1944 roku na placówkę „Szozur” koło Janowa Lub., był ppor. kaw. Andrzej Bogusławski ps. „Pancerz”. Jak sam wspomina, pozostając w dyspozycji Oddz. I Sztabu Okręgu, zajmował się pracą komórki legalizacyjnej, a następnie szkolili lubelskich żołnierzy AK w obsłudze niemieckiej broni pancerniej. Po wojnie — co warto odnotować — był jednym z pierwszych dziennikarzy Polskiego Radia w Lublinie, gdzie 20 stycznia 1945 roku rozpoczął pracę z mikrofonem, z którym rozstał się dopiero w 1980 roku w Warszawie, przechodząc na emeryturę.

Co do ministra Kuronia to, w moim przekonaniu jest on po prostu zbyt inteligentny, by być zrozumianym przez gros tych, o których życiu w znacznym stopniu decyduje jego resort. Jego wtorkowe telewizyjne gawędy pozbawione są spójności, klarowności, pełne dygresji, wstawek pozatematycznych, a nade wszystko niecierpliwości i nerwowości pana ministra. Z Małgorzatą Niezabitowską sprawa ma się jeszcze gorzej. Przyszło jej bowiem wystąpić na tle nieomal już legendy, w innym normalniejszym czasie, choć po fatalnym eksperymencie z jakimś Zbysławem Rykowskim.

Niewiele zapewne widzów zdążyło zapomnieć czasu, gdy wtorkowy serial „Rzecznik rządu odpowiada” z powodzeniem konkurował w obszarze popularności z „Ptakami ciemnych krzewów” i różnymi innymi takimi. Mało kto jednak uzmysławia sobie fakt, że wówczas minister Urban był praktycznie jedynym źródłem ciekawszej informacji, że jako zawodowy przechera potrafił to i tamto zdyskontować, ten i ów przekazik zarejestrowany na video ujawnić, temu i owemu przywalić na odlew, tu wyszydzić, a tam podszczypanąć.

Czasy sprzyjały półszepotom. A to zamordowano księdza, to zryw prywatna osoba spotkała się z jak najbardziej publicznym prezydentem, ktoś dostał dziesięć lat za ulotki, inny pognał z pałą na grupkę maolotów, układających rachityczne kwiatki na jakiejś nieprawomyślnie płycie. Wszystko to w gęstym, mętłym sosie sankcji, szerującego „imperium zła”, okrutnego wujka Reagana, przy akompaniamentcie strzałów w Afganistanie i gdzie indziej.

Takie były czasy. Jakież to pożywka dla inteligentnego ministra informacji. Jak tu można brylować i kwitnąć. A w dodatku z czasów „solidarnościowego” boomu informacyjnego pozostało jeszcze w Polsce wielu wybitnych dziennikarzy, ludzi z autentycznym dorobkiem, profesjonalnych starych „wyjadaczy”, którzy mogli być partnerem bądź przeciwnikiem każdego prasowego rzecznika świata. (W normalnych bowiem czasach proszę nie sądzić, że czołowe agencje i gazety globu traktują właśnie Polskę priorytetowo. Rzec ma się podobnie, jak w sferze dyplomacji: placówka w Warszawie to nieomal zesłanie).

Nie zamierzam tu w niczym umniejszać zasług Jerzego Urbana. Przeprowadzając kiedyś cykl rozmów z korespondentami zagranicznymi akredytowanymi w Warszawie, każdemu z nich zadawałem pytanie o ocenę ministra i — o dziwo! — im bardziej pragmatycznie negatywny bywał stosunek danego dziennikarza do polskiej rzeczywistości, tym wyższa ocena profesjonalizmu ministra. Prawidłowość ta występowała regularnie między tak odległymi biegunami jak korespondent „Prawdy” i japońskiej „Yomiuri Shimbun”.

Wtorkowe spotkanie przeszły do historii polskiego dziennikarstwa. Kłopot tylko w tym, że minął czas fajerwerków, telewizyjnych „show”, ugnia-

tań i wyostrzania faktów. Czy ktoś z szerokiej publiczności zna nazwiska rzeczników prasowych Departamentu Stanu, prezydenta Republiki Francuskiej, brytyjskiego Downing Street 10? Czy sądzą Państwo, że to wielka frajda wysiedzieć na konferencji rzecznika Światowej Rady Atomistyki bądź konferencji w sprawie redukcji broni strategicznych i zbrojeni w Europie? Czy Merlin Fitzwater lub Giennadij Gierasimow tryskają raz po raz jałowitym humorem bądź zonglują kasetami, jak to w pewnym parku pewnego miasta pochwycono niebezpiecznego szpiega? Polityka, choć z pewnością pasjonująca, jest także obszarem żmudnej profesjonalnej penetracji, gdzie niewiele jest miejsca na sensację i plotkę.

Jakie ma zatem atuty Małgorzata Niezabitowska, by konkurować z pamiętną i pamiętaną osobowością? Zadane. Dziś sensacje i ploteczki — obok, rzecz jasna, konkretnej informacji — przetaczają się przez całą krajową prasę od „Gazety Wyborczej” po „Trybunę Ludu”. Dziś posmak „wtajemniczenia” coraz bardziej traci sens. Uproszczone zasady akredytacji, ułatwiono dostęp dziennikarzy na konferencje, z prasą spotykają się — i to nie tylko od wielkiego dzwonu — szefowie poszczególnych resortów, po spotkaniach przy Krakowskim Przedmieściu można podejść do pani rzecznik i zamienić z nią swobodnie kilka słów (minister Urban otoczony był szpalerem „przydupasów” i był równie niedostępny jak Elżbieta II). Odpowiedzi pani minister są krótkie, rzeczowe, pozbawione pomrukiwań, poohrzakiwań i komentarzy. Nikt niczego nie przygotowuje „na zaś”, dla maksymalizacji odpowiedzi towarzyszą jej zawsze fachowcy z tej lub innej dziedziny.

Czy to oznacza, że zadowala mnie w pełni to, co pani Niezabitowska robi? A jeszcze szerzej, czy uważam, że rząd prowadzi bez zarzutu politykę informacyjną? Oczywiście, że nie.

Drażni mnie pewna niefrasobliwość pani minister w traktowaniu trudnych tematów, gładkość jej komentarzy, jakby żywcem wyjętych z komunikatów prasowych, przyznawanie Nagrody Nobla Leszkowi Balcerowiczowi, podczas gdy jego reforma liczy sobie za ledwie kilka tygodni, chichotliwe uwagi o szpiegach i podsłuchach, zbyt mała dawka zadziorności, brak polemicznego tonu wobec czegośkolwiek, słowem, brak tego „pieprzu”, który zawsze był i będzie prawdziwą pożywką ludzi pracujących w prasie.

Podejrzewam, że jak na rzecznika prasowego rządu, który zapoczątkował i prowadzi swoistą rewolucję, pani Niezabitowska jest zbyt kulturalna. Rzadko ośmieszają barambuli wypowiedziane z sali, żywi nabożny szacunek dla „wielkich nazwisk” (Margueritte, Bobiński, Marsch — choć wszyscy oni, rzecz jasna, zasługują na szacunek) ale zarazem nie trawij hochsztaplerki (vide: Janusz Atlas). Konferencje mogłyby zyskać na dynamizmie, można by je prowadzić żywiej, można by także od czasu do czasu przechować na tę okazję jakiś naprawdę smakowity kasek.

Gwałtowni oponenty Małgorzaty Niezabitowskiej winni jednak pamiętać, że zachodnie dziennikarskie „jastrzębie” wobec pro-Solidarnościowego gabinetu nie mogą już, jak dawniej, wykazywać agresji, krytykować, naciskać, walczyć. Po prostu nie wypadają. Przedstawiciele krajowych mass mediów, którym by może „wypadało” („Zobierz Wolności”, „Trybuna Ludu”), w dużej mierze utracili zęby. A przecież atmosfera konferencji zależy od dwóch stron. Rząd premiera Mazowieckiego potrafił zapewnić sobie nieprawdopodobnie długi okres ochronny.

Cóż więc należy zrobić, aby wytlumaczyć niepotrzebne głosy o niesprawności nowego rzecznika rządu, odebrać matolom wygodny obiekt ataku i cedowania na kogoś innego własnego niezadowolenia i goryczy? Ano, jako się rzekło, koniunktura na fajerwerki minęła, zaczął się okres żmudnej „nudnej” pracy, dopóki coś naprawdę wielkiego nie wybuchnie. Postuluję zatem zdjęcie z programu telewizyjnego audycji „Rzecznik rządu odpowiada”. Po co przynudzać widzów Konferencje prasowe to nieatrakcyjna, choć ważna część zawodu dziennikarskiego. Zostawmy więc je zawodowcom. Ważne zaś i społecznie nośne treści wystąpień pani minister można zaprezentować w każdym programie informacyjnym z „Wiadomościami” na czele.

Nie ma przecież zasady, że przekazy ze spotkań rzecznika rządu z dziennikarzami muszą być pokazywane na ekranie. O ileż pożyteczniej byłoby, gdyby cała ekipa, w tym i minister informacji, udała się w teren, by w trudnych, bezpośrednich rozmowach tłumaczyć ludziom aktualne działania i przyszłe zamierzenia rządu. Ludzie pragną wyjaśnień i mają prawo ich żądać. Wątpię, czy satysfakcjonuje ich telewizyjna „pigulka” ze spotkań przy Krakowskim Przedmieściu.

Obecnie brak mi retoryki, choćby z repertuaru „dziadka” Piłsudskiego. Niechby ktoś nareszcie — bez utniżgów, choć również bez zbędnej ornamentyki — powiedział temu narodowi „co jest grane”. Niechby ktoś wyszedł blisko do ludzi, walnął pięścią w stół, wyklarował im całą tę ekwilibrystykę socjo-ekonomiczną, niechby także posłuchał co mówi się „na dole”.

Hitów telewizyjnych można mieć pod dostatkiem, utrzymanie wiarygodności zaś to sprawa podstawowa. Niedobrze bowiem się dzieje, gdy o o tym, iż minister Niezabitowska odcięła się „w zasadzie” od stwierdzenia Lecha Wałęsy co do wycofania wojsk radzieckich z terytorium Rzeczypospolitej, dowiadujemy się z plotek. Zawinił redaktor programu realizującego „pigulkę”. Zgoda. Tym szybciej właśnie należy zaniechać odtwarzania tych nie dających ogółowi widoków.

A co do owego luzu, jaki zauważyli na początku szatniarce, to na widok wchodzącej do holu minister wyprężyli się na baczność, by za chwilę w lansadach odebrać jej płaszcz. Wciąż jeszcze silnie trzymają się wśród nas stare przyzwyczajenia. Co władza, przecież, to władza.

Wiesław Horabik

LISTY

Prowokacja?

Wychowałem się i zamieszkuje w miejscowości, w której w latach okupacji działalność AK była dobrze zorganizowana. Od najmłodszych lat (urodziłem się w 1945 r.) już jako dziecko, przysłuchiwałem się w jesienne lub zimowe długie wieczory wspomnieniom byłych żołnierzy AK. Wspominali dramaty z lat wojny i lat powojennych, a ciotka moja jeszcze w latach sześćdziesiątych miała nadzieję, że wujek powróci z Syberii do domu. Nie wrócił. Od najmłodszych lat utkwili mi z opowiadań w pamięci ps. „Zapora”, „Opal”, „Szmerling” i inni jako bohaterowie. „Ciek” był wymieniany jako doskonały bandyta. Z opowia-

dań znałem w zarysie przebieg niektórych akcji.

W grudniu 1988 roku w „Sztandarze Ludu” został wydrukowany list pani mgr Janiny Aleksandry Król-Nowickiej, która, jak wynika z listu, zamierzała napisać DOKTORAT na temat bohaterskiego „Cienia”.

Napisałem pod zamieszczony adres list z informacją o akcji, jaką przeprowadził „Ciek” pod Owczarnią. Córka list przepisała, a ja wysłałem polecony bez adresu zwrotnego na kopercie.

Ogromnie się zdziwiłem, gdy po kilku tygodniach otrzymałem list z powrotem. Zdziwiło mnie kilka spraw:

- 1) Zaadresowałem dokładnie na adres podany w prasie. Dlaczego nikt nie odebrał listu?
- 2) Co znaczy napis na kopercie: „Zwrot na pocztę, nie dotyczy aresztu”?

- 3) Pomimo narzekań na pracę pocztę list przez Kołuszki (tam komisyjnie otwarty w celu ustalenia nadawcy) dotarł do mnie. Bravo dla poczty!

W nr. 30 „Relacji” czytałem ponowny apel pani Król-Nowickiej, która tym razem zamierza napisać już nie doktorat, lecz tylko pracę magisterską i nieco zmieniła miejsce zamieszkania. W „Sztandarze Ludu” — Rakowiecka 37/19. Więc jeszcze jedna zagadka.

I wreszcie prawie wszystko się wyjaśniło dzięki „Relacjom” nr 3 (53). Pozostaje do wyjaśnienia, kto zamieszczał ogłoszenia? Kto robił z czytelników durni i idiotów?

Przesyłam naprawdę gorące pozdrowienia dla całej redakcji.

Zdzisław Ziółkowski
kol. Poniatowa
Kraczewice



WALKA Z WIATRAKAMI

Z ZAINTERESOWANIEM i nie bez refleksji (wszak wspomnienia są wolne od wad i opłat) przeczytałem artykuł red. Janusza Świądra, zamieszczony w śp. „Sztandarze Ludu” z 5 stycznia br., pt. „Agonia rozłożona na raty”.

Autor trafnie opisuje agonie dworców Podlasia. Tak się złożyło, że byłem tam, kiedy tragedia dworców i innych obiektów zabytkowych, tych ważnych świadków naszego bytu w kulturze, przebiegała w formie cichej mszy żałobnej. Często trudno mi mogłem zrobić już użytku z kamery fotograficznej w celu wykonania „arcydzieła światłocienia”; nie zawsze zresztą agonie są fotogeniczne. Niektórym zabytkom urządzono panichidę, mumiifikując je skansenowo, wymieniając w przewodnikach turystycznych; inne skazano zaoznicznie, w trybie doraźnym, na śmierć przez zapomnienie.

Było mi dane poznać śp. Romualda Mikoszewskiego, nauczyciela łosidkiego, wielkiego miłośnika regionu podlaskiego, społecznika, człowieka szlachetnego, który zaszczycał mnie przyjaźnią. Przewędrowaliśmy razem niejedną szlak i przegadaliśmy niejedną wieczór podlaski. Byłem obecny wraz z nim na spotkaniu zainteresowanych zabytkami Podlasia z ówczesnym ministrem kultury i sztuki — Kazimierzem Żygulskim, który nie mógł odpowiedzieć na żadne z siedmiu pytań Mikoszewskiego, a zwłaszcza na to, dlaczego generalny konserwator zabytków w ciągu dwu lat nie zdołał udzielić odpowiedzi w sprawie ruin dworców podlaskich. Spotkanie miało miejsce w maju przed kilkoma laty, w siedzibie Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Białej Podlaskiej, i dla dobra zabytków nic z niego nie wynikło.

Fakty opisane przez red. Świądra są rzeczywiście „smutne, acz prawdziwe”. Nie mogę jednak zgodzić się ze stwierdzeniem, że „troska ratownia dóbr kultury przypomina niekiedy przysłowiową walkę z wiatrakami”.

Może niekiedy, może gdzie indziej. Przysłowiowa walka z wiatrakami jest wziętym z Cervantesa symbolem bezskuteczności wysiłku. Tymczasem na Podlasiu walka z wiatrakami jest wyjątkowo skuteczna, wiatraków coraz mniej, a w całości ocalał już chyba tylko jeden, bardzo zresztą piękny i malowniczo położony, w Chlebczynie. Kiedyś na terenie obecnego woj. białkopodlaskiego było ich podobno ok. 300. Nieliczne zachowane są już bezskrzydłe, stawiające coraz słabszy opór lokalnym włodarzom „podlasiom”.

Poza tym, oczywiście, zgadzam się z red. Świądrem, pozwalając sobie, jako sojusznik intencji jego artykułu, dołączyć skąpy materiał ilustracyjny-dowodowy.

Zdjęcia i refleksje

Waldemar Stepień

DROGA przez „most” była głównym szlakiem dojazdowym do cypła, na którym kiedyś wybudowano „Kuncewiczówkę”. Od reszty sześciomorgowej działki Kuncewiczów, od sadu, parku oraz starej chatki, od której zaczęła się kiedyś ich przygoda z Kazimierzem, cypel był oddzielony głębokim parowem opadającym stromo w kierunku Czerniaw; mrocznym, porośniętym na zboczach grabiną i gestymi krzakami. W poprzek tego parowu usypano wysoką ziemną groblę, obudowaną po bokach solidnym drewnianym płotem. To był właśnie „most”.

Z biegiem czasu, gdy okoliczne drzewa rozrosły się, szlak wiodący przez groblę zamienił się w ciemny, zielony tunel łączący „Kuncewiczówkę” z zawsze pełnym słońca starym sadem.

ALE pięćdziesiąt lat temu „most” nie był ukryty wśród drzew. W słoneczny dzień 6 września 1939 r. widać było z tarasu „Kuncewiczówki” wyraźnie wysoką szczupłą postać Juliana Tuwima, kierującego się w stronę wąwozu Małachowskiego, który wiodł ku centrum Kazimierza. Wszedłszy na „most”, Tuwim przystanął na chwilę, odwrócił się i kłaniając się „teatralnie” stojącym na tarasie gospodarzom, zamiótł kapeluszem po ziemi, mówiąc niby to żartem: „Oto Julian Tuwim, poeta polski, idzie na wygnanie!”

Na kazimierskim rynku miał umówioną taksówkę, która powiozła go wśród rzeszy innych uchodźców w stronę Lublina...

Tuwim pojawił się w Kazimierzu, w domu Kuncewiczów, dzień wcześniej wraz z całą grupą innych warszawskich bliskich znajomych — literatów, polityków, działaczy społecznych. W salonie-jadalni na parterze zebrał się wieczorem Słonimscy, Tuwimowie, Grydzewski, Stanisław Baliński, była Maria Tretter-Michałowska, naczelny redaktor warszawskiego „Wieczoru”, Stanisław Sturzetelski z rodziną, a także Stefan Urbanowicz, członek Stronnictwa Ludowego, adwokat, znany z procesu brzeskiego obrońca Witosa, oraz dyrektor departamentu personalnego MSZ, Wiktor Tomir Drymmer z żoną.

Drymmer organizował w Kazimierzu siedzibę wojenną Ministerstwa Spraw Zagranicznych (główną siedzibą MSZ miał być Nałęczów); starał się tutaj także jakoś pomieścić część korpusu dyplomatycznego. Część biur miała znajdować się w willi Kuncewiczów; od dwóch dni znosono tu z warsztatów Szkoły Rzemieślniczej biurka i ławki, od poczty ciągnięto specjalną linię telefoniczną... Zaś w salonie-jadalni rozłożono na podłodze wypchane słoma sieniaki dla przybywców z Warszawy.

Kuncewiczowie przyjechali do Kazimierza tego samego dnia co ich wojenni goście: 5 września. Z Warszawy przewiózł ich tutaj własnym samochodem płk Mieczysław Lepecki, znany podróżnik i pisarz, ostatni adiutant Józefa Piłsudskiego. Lepecki przyjechał z Kuncewiczami więzy rodzinne. Siostra Jerzego Kuncewicza była jego szwagierką.

Maria Kuncewiczowa opowiadała mi kiedyś, że długo w noc z 5 na 6 września siedzieli wszyscy w salonie-jadalni. „Rozmawialiśmy niewiele. Byliśmy wszyscy zbyt zaskoczeni, zbyt wstrząśnięci tym, co się działo dookoła. Zartowaliśmy. Próbowaliśmy żartować. Przecież znajdowali się wśród nas ludzie słynni w całym kraju z ciętego dowcipu. Tym dowcipem Tuwim i Słonimski próbowali pokryć swoje prawdziwe uczucia”.

W pokoju stał pod ścianą wspaniały, niezwykły bukiet: fioletowe mieczyki, ujęte w oprawę z wielkich liści kapusty...

MARIA Kuncewiczowa lubiła i umiała układać bukiety. Kochała kwiaty. Te, które rosły wokół „Kuncewiczówki”, oddawały charakter dawnego, przedwojennego Kazimierza nad Wisłą. Nie było tu kwiatów specjalnie wyszukanych, ale swójskie, nadwiślańskie. Od frontu — róże, wzdłuż alejek — floksy, gdzieś z brzegu — trochę nasturcji, rzudek maciejki, przy starym, pustym basenie kąpielowym — rząd wysokich, chwiejących się na giętkich łodygach „motylków” (kosmea), która Maria Kuncewiczowa określała nazwą wyniesioną z dzieciństwa — „warszawiankami”.

W zalomiu tarasowego muzu, pod oknem południowego pokoju na parterze Jerzy Kuncewicz hodował mosełowe drzewko, które zasadził na początku lat sześćdziesiątych, gdy wrócił wraz z żoną do Kazimierza ze swej wędrowności po świecie. Wędrowniki, która zaczęła się przed ponad dwudziestu laty właśnie tutaj, 10 września 1939 r., kiedy to wraz z Urbanowiczami wyruszyli ich autem w kierunku Lublina...

Przed wieczorem Maria i Jerzy Kuncewiczowie wychodzili na tradycyjny spacer. Szli nieodmiennie tą samą, od lat przebywaną trasą: przez „most” do sadu, w którym po każdej stronie ubywało drzew; a dalej — obramowaną kępami wysokich kolorowych lubinów drogą, która zarósłszy trawą, zamieniła się w wąską ścieżkę; do furtki w ogrodzeniu na tyłach „mostu”.

Za bramą i przyległą do niej zardzewiała, prawie nigdy nie używana brama wjazdowa zaczynała się nieuciśnioną drogą, kierującą się ku wąwozowi Małachowskiego. Biegła ona między parkiem oraz posesją należącą do spadkobierców Reginy Białowiejskiej-Glinkowej (od której kiedyś Kuncewiczowie od-

kupili parcelę ze starodrzewem i sadem), pary pedagogów w stanie spoczynku, państwa Wróblewskich.

Do drewnianego domku-dworku z ganikiem wpartym na dwóch kolumnach państwo Wróblewscy zjeżdżali rokrocznie z Gdańska czy też Gdyni (gdzie mieszkali na stałe) na całe lato i jesień. Część domu zajmował, wraz z żoną i synem, pan Edward Łaszczanowski, stolarz i pszczelarz, były żołnierz 3 Korpusu, opiekujący się pod nieobecność gospodarzy całą posesją.

Pani Wróblewska pielegnowała w ogrodzie przed domem wspaniałe bułdenezę i hortensje, których krzaki przybierały wręcz gigantyczne rozmiary. Pan Wróblewski, stale kręcący się wśród grządek, w niczym nie przypominał dawnego strzelca wyborowego z lat drugiej wojny światowej...

Podczas wieczornego spaceru najpierw był krótki przystanek na pogawędkę Jerzego Kuncewicza z panem Łaszczanowskim na tematy polityki międzynarodowej. Potem — przed mikroskopijną chatką sióstr Królikowskich, dobiegających osiemdziesiątki, ale nadal pracujących na roli, prowadzących gospodarstwo pełne kur, świń, cieląt — odbywały się dłuższe pogawranki na temat tegorocznych zbiorów.

Królikowscy siedzieli na swoim kawałku ziemi od lat. Stanowili jedną z ostatnich „wysp” dawnego przedwojennego Kazimierza; tych czasów, które Kun-

WOKÓŁ

Mirosław Derecki

cewiczowie pamiętali z okresu swojego osiedlenia się w kupionej od pani Reginy Białowiejskiej-Glinkowej wiejskiej chatce.

W latach sześćdziesiątych, korzystając z możliwości zaciągnięcia pożyczki, jaka przysługiwała rolnikom, siostry Królikowskie wraz z bratem Edkiem, byłym marynarzem, obrońcą Helu, postawiły wygodny, murowany dom. Ale wynajmowały go prawie w całości letnikom, nie potrafiąc opuścić starego, rodzinnego domku. U pani Heleny Królikowskiej można było kupić dobre, tłuste mleko; sprzedawała też dorodne gruszki, śliwki i pomidory.

Wzdłuż stodoły Królikowskich, zawieszanej niczym stary kasztel nad strumieniem z boczem wąwozu Małachowskiego, wiodła trawiasta droga, kończąca się na wysokości pomnika Małachowskiego, miejsca, w którym — jak głosi legenda — zginął podczas jednej z walk Powstania Listopadowego ten bohaterski dowódca.

Dalej — ścieżką dochodziło się do drewnianego domku, należącego do pani Jadwigi Kozirowskiej, zwanej potocznie przez wszystkich — panią Wisią. Zaraz za domem, pod pięknymi modrzewiami, był drewniany stolik wkopany w ziemię, a przy nim ławeczka i kilka pienków do siedzenia. To był główny punkt odpoczynku i główne miejsce towarzyskich rozmów Kuncewiczów na trasie ich spaceru.

Dom pani Wisi przesiąknięty był atmosferą artysty. Jego właścicielka, osoba o niecodziennej osobowości, ciemnowłosa, śniada, o ogromnym poczuciu humoru, pracująca przez cały dzień w jednej z puławskich spółdzielni, miała niezwykły talent dekoratorski.

Drewniana chatka złożona z dwóch pokoi z kuchenką, przypominała wewnątrz ni to szlachecki dworek, ni to siedzibę jakiegoś przedwojennego kazimierskiego artysty. Pełno tu było obrazów, starych sztychów, grawiur, malowanych ludowych dzbanów, świeczników mosiężnych, rodzinnych fotografii Kozirowskich sprzed stu lat, ludowych chodników — „szmaciaków”, współczesnych egipskich dywanów, książek, kufków przykrytych wełniakami...

Sady pani Wisi na temat otaczającego świata były błyskotliwe, celne i oryginalne. Jej opowieści — szczególnie te o latach wojny spędzonych w Kazimierzu, o pierwszych latach po wyzwoleniu — potrafiły zapierać słuchaczom dech w piersiach.

Często latem zatrzymywała się u pani Wisi znana malarka, scenograf Teatru Wielkiego, Irena Lorentowicz, córka krytyka literackiego i teatralnego, a w pewnym okresie dyrektora warszawskich teatrów miejskich — Jana Lorentowicza. Chatka pani Wisi przypominała jej — jak twierdziła — atmosferą Kazimierza przedwojennego; ten, który tak pięknie opisał w swoich wspomnieniach, zachwycającej książce, noszącej tytuł: „Oczarowania”.

Irena Lorentowicz chodziła z trudem, podpierając się laską. Kiedyś była zwierną „kazimierską zjawą”, jedną z uczennic Tadeusza Pruszkowskiego, charakterystyczną postacią tutejszej malarskiej cyganerii lat dwudziestych.

To właśnie ona, przyjaciółka Marii Kuncewiczowej, powitała w połowie lat dwudziestych, gorącym latem, Kuncewiczów na kazimierskim rynku; to ona oprowadzała przyszłą autorkę „Dwóch księżyców” po uliczkach i zaułkach, po jarach i wąwozach

Kazimierza. Być może ona właśnie zaprowadziła ją pewnego dnia na porośniętą dębami i lipami parcelę nad wąwozem Malachowskiego, tam, gdzie na skraju sadu bielili się ściany niewielkiego domku?

Kiedy do pani Wisi zjeżdżała na lipiec lub sierpień Irena Lorentowicz, Kuncewiczowie zasiadali przy stole pod modrzewiem na dłużej niż zwykle.

Było co wspominać. Była sposobność do rozmowy o tym, co już bezpowrotnie minęło tutaj, w Kazimierzu...

„Wspomnienie wspólnego plein-airu łączy nas wszystkich — pisała Irena Lorentowicz na kartach „Oczarowań” — rozbiegłych po świecie, jak żołnierzy łączą wspólne okopy. Miasteczko białych kóz w ruinach, bożnic rozmodlonych, sobotnich świec w okienkach, jarmarków, odpustów i kwiatów zwanych „panny młode”. Staliśmy wieczorem na Górze Trzech Krzyży, skąd widać było kościół, oświetlony na październikowe nabożeństwo, jakiś chór śpiewał z bardzo daleka. Miasteczko z nieprawdziwego zdarzenia — Dickensa i Dybuka zarazem...”

PRZEZ ostatnich pięć lat przed wojną Irena Lorentowicz przebywała na stypendium artystycznym w Paryżu. To właśnie w liście do niej, wysłanym z Kazimierza, z „dużego” domu, gdzie latem 1939 r. pracowała nad „Ojcem Róży”, pierwszą wersją „Leśnika”, Maria Kuncewiczowa pisała z niepokojem: „Dzieci krzyczą w ogrodzie wesoło, zrywają ostatnie gruszki, może naprawdę ostatnie, może już zbliża się wojna”.

„KUNCEWICZÓWKI”

To u Ireny Lorentowicz zatrzymywali się, w 1939 roku po dotarciu do Paryża, właściciele porzuconej w pośpiechu, opustoszałej „Kuncewiczówki”. A potem — wspólnie chodzili po wojennym Paryżu.

Razem też uciekali ewakuacyjnym pociągiem rządowym z Angers ku południowo-zachodnim wybrzeżom Francji. Aż w pewnym nadmorskim miasteczku nastąpiło nagłe rozstanie: Kuncewiczowie dostali się na statek odpływający do Anglii, malarzka nie zdążyła. Musiała później przedzierać się przez Pireneje, w drodze do Hiszpanii, a następnie Portugalii. Spotkali się dopiero po wojnie — w Stanach Zjednoczonych.

I znowu po upływie iluś tam lat, koło się zamknęło — w Kazimierzu.

PRZEZ posesję pani Wisi wiodła droga wieczornego spaceru Marii i Jerzego Kuncewiczów dalej, ku samotnej, zawieszanej nad ujściem wąwozu Plebanka, zagrodzie Skoczaków. Stąd, z góry,

rościł się szeroki widok na pola, na Miejski Las i czerniejący w dali zarys Albrechtówki.

W Skoczaków było tak, jak bywało przed siedemdziesięciu laty: na obszernym podwórzu, odgradzonym od świata potężną drewnianą bramą niezym ze „Starej Baśni”, grzebały w ziemi kury, harcowały małe kotki, poszczekiwały psy, z ohyłcej się ku ziemi obórki z „wapniaka” spojonego gliną, dobiegało porzykiwanie krów; Skoczek, którego ojciec kładł kiedyś gonty na dachu willi, która miała nazywać się „Pod wiewiórką”, a stała się „Kuncewiczówką”, perorował coś podniesionym głosem do swojej żony, Słotwińskiej — ze Słotwin, z wsi podkazimierskiej, szlacheckiej. A za stodoły Skoczakowego brata, spośród wyrosłych wysoko lopianów i kęp szczawiu, wylaniał się cień starej, od wielu lat już tutaj rdzewiejącej na deszczu i wietrze ostatniej kazimierskiej dorożki.

JERZY Kuncewicz zmarł 14 marca 1984 r. Maria Kuncewiczowa — w pięć lat później, 15 lipca 1989 r. Oboje zostali pochowani na cmentarzu w Kazimierzu, w grobowcu, który dawno już dla siebie przygotowali.

Leżą wszyscy niezbyt daleko od siebie: Karol Si-ciński, który kiedyś zaprojektował „Kuncewiczówkę”.

Józef Wójcik i jego żona, którzy przez lata opiekowali się domem nad wąwozem Malachowskiego i strzegli go przed zniszczeniem i poniewierką, Maria i Jerzy Kuncewiczowie, właściciele domu; córka „Cudzoziemki” i jej mąż, którzy w Kazimierzu wreszcie znaleźli swoją życiową przystań.

Czy naprawdę umarli?

Jerzy Kuncewicz napisał w książce „Nieskończoność a Rzeczywistość”:

„Życie nie śmierć jest zjawiskiem powszechnym. Nie mamy bezwzględnych form śmierci, bo nie znamy ani materii, ani energii, która by nie ulegała nieskończonym przemianom, zawierającym prawdopodobieństwo posiadania jakiejś świadomości. Przemiana form istnienia oraz rodzaju i stopnia świadomości nie jest śmiercią, tylko odmianą życia. Śmierć jest koncepcją intelektualną, stwierdzającą naszą bezsilność w obliczu innych form życia”.

(Odc. 4 — koniec)



Pejzaz z okolic willi Marii Kuncewiczowej.

Fot. Waldemar Stępien

LISTY

„Unici Podlascy”

„Unici Podlascy” p. Dariusza Fionika, umieszczeni w dziale listów nr-u 43/89 „Relacji”, nasuwają mi trzy sprawy niekoniecznie przyjemne.

1. Przy cytacie: „...ludność nie powróciła do wiary swoich przodków sprzed Unii Brzeskiej 1596”, powtórzę to, co pisałem w związku z polemiką p. Grzegorza Matacza. Nim wschodni Słowianie po roku 1054 dowiedzieli się, że są prawosławni, byli od przeszło pół wieku, to jest od przyjęcia chrześcijaństwa, katolikami obrządku greckokatolickiego wschodniego.

2. Do cytatu „...i bijącej zewsząd nostalgii [...] za minionym, kiedy to dziesięć wieków temu po obu stronach Bugu brzmiała melodyczna mowa, mowa wschodniosłowiańskich plemion: Bużan, Dulebów i Drehowiczów”, zadam pytanie, a skąd to p. Fionik wziął tę melodyczność, ma nagrania? Przecież nawet nie ma żadnego zapisu, a litery też melodyjności języka nie oddadzą. Domniemał na podstawie dzisiejszych cech języka poważnie traktować nie można. Ale tu pojawia się znacznie gorsza sprawa — wychwalanie swego języka, a stąd wartościowanie prowadzące wprost do szowinizmu. Czyżby p. Fionik tęsknił do czasów, gdy Rosjanie ogłosili, że ich język „samyj krasiwieje wo wsioim mirie”, i naśmiewali się z matoruskiego-chachlaczego, i z polskiego, i Polaków — „preków”. Polacy odwzajemniali się też nielicho. Te czasy minęły, a jeżeli istnieje potrzeba utrzymania takiego stanu to umówmy się przy większej wódecie i ponaśmiewamy się z siebie. Mam bogaty repertuar.

3. Z całości artykułu przebijają pretensje do Polaków za wszystkie krzywdy, jakich doznali „matorusini”. Tą największą krzywdą była polonizacja. A rusyfikacji nie było? Dlaczego p. Fionik nie zgłasza pretensji do Rosjan, że prawie cała inteligencja ukraińska w okresie międzywojennym przedstawiała się jako Rosjanie. Mniemam, że uczony ukraińsko-białoruski Mikołaj Jańczuk, na którego powołuje się p. Fionik, reprezentuje właśnie taki typ zrusyfikowanego wschodnio-słowianina. Pojęcie „matorus” — „matorusin” wymyślili w XIX wieku Rosjanie, by całkowicie wchłonąć, scalić z sobą Białorusinów i Ukraińców. Celowi temu miało służyć ujednoczenie pisowni rosyjskiej i ukraińskiej. Zamiary te przerwała II wojna światowa. Dodam jeszcze że dzisiejsi historycy, szczególnie ukraińscy, odrzucają pojęcie „matorusin”.

I na zakończenie. Nie wypada używać określeń pełnych jadu, jak „zakłete koło przemocy”, „nowotwór obrządku unickiego”. Nie chciałbym nabrać przekonania, że p. Fionik reprezentuje agresywno-zaborczy kierunek prawosławia, ten sam, który odebrał unitom katedrę św. Jura we Lwowie. Byłoby lepiej, gdyby prawosławni i unicy najpierw dogadali się, jak współżyć, a walki o swobody religijne i kulturowe nie zaczynali od pretensji do nas. To nie polscy panowie, lecz wasi „kniaziowie” stworzyli unię. A po co? Odpowiedzią jest też pytanie: czy lepsze było prawosławie i przynależność do „samodzierżawnej Rosji”, czy unicki grekokatolicyzm, wchodzący w skład Rzeczypospolitej i będący w ostatnim 200-leciu inspiratorem dążeń i walk o wolność narodową?

Włodzimierz Dębski
(od młodości słuchający sporów
prawosławno-unickich)

„Moje życie z cenzurą”

„Relacje” nr 4 z dnia 25.01.1990 r. opublikowały wywiad Waldemara Piaseckiego z Kazimierzem Pawelkiem pt. „Moje życie z cenzurą”, opatrzonego wstępem, w którym zarzucają mi, że w swoim programie telewizyjnym o cenzurze (Panorama Lubelska z 10 stycznia 90) używałem nożyc, manipulowałem brzydki i cenzurowałem „Relacje”.

Wyjaśniam zatem „Relacjom” oraz ich PT. Czytelnikom, że:

1. „Relacji” nie tylko nie cenzuruję, ale nawet czytam z rzadka.

2. Nożyc w montażu telewizyjnym używam tak, jak mi na to pozwalają: prawo, dobre obyczaje dziennikarskie i własna koncepcja autorska. Żadna z osób występujących w tym programie nie skarżyła się na cięcia montażowe, oburzyły się jedynie „Relacje”, które w moim programie o cenzurze reprezentowane były przez gońca odnoszącego materiały do Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk.

3. Informuję, że o tym, co jest, czego nie ma w moich programach telewizyjnych, decyduje ja i — póki co — nikt inny. Sądzę, że tak zostanie. W przeszłości niedawnej zdarzyło się, że trzykrotnie ingerował Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk, co zostało skrupulatnie zaznaczone. Nawiasem mówiąc, było to pierwsze zaznaczenie i cenzorskiej ingerencji w historię telewizji polskiej.

4. Rozumiem, że „Relacje”, publikując wspomniany wywiad ze wstępem, chciały podkreślić swoje zasługi. Co nieco wiem o tym, kto w Lublinie walczył o wolność słowa i od kiedy. Pretensje „Relacji” pozwalałem sobie zatem skwitować przysłowiem: „Konia kują, żada nogę podstawią”.

Wacław Biały

MŁODE, a może i nie tylko młode, pokolenie mieszkańców Lublina wie o walkach wrześniowych o miasto niewiele ponad to, że 9 września odbył się wielki nalot bombowy na Lublin i w tym nalocie poległ koło budynku poczty wybitny poeta Józef Czechowicz. Przez całe dziesięciolecia okolicznościowe i tylko przyczynkarskie artykuły i wspomnienia nie układały się w całościowy obraz walk o Lublin. Dopiero po upływie pół wieku i po trosze za sprawą ubiegłorocznej, „okrągłej” rocznicy ukazał się album, obrazujący przebieg i zakres walk o to miasto. Wydawcą jest Kolo ZBoWiD nr 19 w Lublinie, a komitet redakcyjny tego cennego druku tworzą: S. Drygalewski, Al. Leszek Gzella, J. Niedzielski, K. Pazur i W. Rokicki.

Album składa się z dwóch części. Pierwsza omawia przebieg walk o Lublin, druga zawiera bogaty materiał fotograficzny z tamtych dni: przygotowania do obrony, głównych jej organizatorów wojskowych i cywilnych, skutki terrorystycznych nalotów niemieckich na miasto, zdjęcia uczestników walk oraz z uroczystości odsłonięcia, w 1987 roku, pomnika obrońców Lublina.

Zarówno budowa pomnika, jak też wydanie albumu, to zasługa kilku odanych sprawie uczestników walk. Jeden z nich, Władysław Rokicki, doprowadził w 1983 roku, w środku stanu wojennego, do powstania koła ZBoWiD nr 19, którego głównym celem było godne uczczenie zbliżającego się półwiecza walk wrześniowych. Na czele komitetu budowy pomnika stanął Jan Dobraczyński, uczestnik walk wrześniowych o Lublin... Ale skrzętne gromadzenie dokumentów i relacji zaczęło się już we wrześniu 1968 roku akcją czytelniczą „Kurier Lubelski-go” i jej dziennikarza, Alojzego Leszka Gzelli.

Po latach sprawę lubelskiego Września podjął Władysław Rokicki, a punktem wyjścia dla jego ustaleń była chęć wyjaśnienia okoliczności powstania żołnierskiego cmentarza przy al. Kraśnickiej w pobliżu ówczesnych koszar 8 pp leg.

Historycy dopiero teraz są skłonni przyznać, że walki o Lublin nie były bezwacnym zrywem ludności cywilnej i jej wojskowych obrońców i że w sumie o całe dwa dni opóźniły po-

suwanie się nieprzyjaciela ku wschodniej granicy.

Walki zaczęły się już 2 września od zmasowanego ataku lotniczego na Lubelską Wytwórnę Samolotów. Zginęło wtedy kilkadziesiąt osób, straty materialne były ogromne. Już wtedy ujawniła się V Kolumna. Na dachach fabryki znaleziono kilkanaście luster. Dywersanci naprowadzali lotnictwo niemieckie na wybrane cele podczas nalotu 9 września, kiedy to w Lublinie zatrzymały się rządu kolmuni ewakuacyjne. Na Czwartku aresztowano perucznika Abwehry, Hansa Grabowskiego, z dokładnym planem miasta i radiostacją nadawczą. W mieście powołano 60-osobowy oddział

IAK WALCZYŁ LUBLIN

Henryk Pająk

do walki z dywersją. Aresztowano m. in. czterech osobników nadających koło koszar 8 pp leg. sygnały Morse'a. Po przesłuchaniu zostali rozstrzelani.

Lublin stał się terenem działania narpędcę zmontowanej — z cofających się wojsk — Armii „Lublin” pod dowództwem gen. Piskora. W przygotowania do obrony miasta ogromnie zaangażował się generał Smorawiński, ale już 12 września rozpoczęła się ewakuacja polskich wojsk na wschód i południowy wschód. Wtedy właśnie następuje drugi rozdział walk o miasto, prowadzonych niemal wyłącznie siłami ochotników i resztek luźnych grup żołnierzy. Jedną z nich stała się tzw. „kompania starachowicka”.

W tej części album składa się z licznych relacji o bohaterskiej walce cywilów w różnych punktach miasta. Niemcy, którzy po wyjściu wojsk polskich zamierzali zająć Lublin niemal do marszu, musieli przystąpić do regularnego oblężenia. Ale siły w uzbrojeniu, liczebności były jakże nierówne!

Początkowo były jednak sukcesy. Kolumna majora Dudzińskiego w okolicach Konopnicy stoczyła zwycięską walkę z grupą Niemców.

W tym starciu z hitlerowską szpicą zginął towarzyszący zwiadowi plk książę von Lippe, kuzyn męża hollenderskiej następczyni tronu. Wkrótce rozpoczęły się walki o szpital Bobolanum, gdzie ciężar obrony wzięli na siebie chłopcy ze Starachowickiej Szkoły Rzemieślniczej. Brawurowym atakiem odbili szpital. Uczestniczył w tej walce również Jan Dobraczyński, który z oddziałem mjr. Dudzińskiego przebywał w zabudowaniach KUL. Przecił dwadzieścia granatów w jego kierunku. Oka-

zało się, że były nieodbezpieczone. Niemiec w ten sposób poddawał się...

Album zatrzymuje w kadrze pamięci bohaterskie indywidualne postawy i śmierci. Bohatersko walczył i zginął 19-letni celowniczy ckm, Jurek Kędziński. Siedemnastoletni wartownik, Tadeusz Pakulski, nie wiedząc o zakończeniu obrony miasta, w tunelu na ulicy Bychawskiej nadal ostrzeliwał kolumnę Niemców. Wezwany do podania, już bez amunicji, wyszedł powiewając w ręce kołnierzykiem koszu. Skosiły go serie rozwścieczonych Niemców.

Album „Oni bronili Lublina w 1939 roku”, pod ogólną redakcją Alojzego Leszka Gzelli, to cenny dokument, a zarazem pomnik bohaterskiego zaciągu cywilnej ludności Lublina w walce z niemieckim najeźdźcą. Walce noszącej wówczas, w tym cywilnym rozdziale obrony — od 12 do 18 września 1939 roku — wszelkie znamiona walki już beznadziejnej. A jednak podjętej i prowadzonej do wyczerpania wszystkich możliwości. I właśnie przez to bohaterskiej.

INFORMATOR KULTURALNY

TEATRY

W LUBLINIE

Teatr im. J. Osterwy: 8—9.02 godz. 18; 10—11.02 godz. 18 (premiera); 13—14.02 godz. 18; „Lwów”. Scenografia i reżyseria Andrzeja Rozhina.

Teatr Lalki i Aktora: 8—9.02 godz. 10, 12; 10—11.02 godz. 12; 13—14.02 godz. 10, 12; „Słowik”, baśń H. Ch. Andersena; reż. Tomasz Jaworski.

Teatr Muzyczny: 8—9.02 godz. 10; „Czarodziejski pierścień” L. Kaszyckiego; reż. Zbigniew Czeski. 10—12.02 godz. 19; 13.02 godz. 19; „Błękitny zamek” Lucy Montgomery.

MUZYKA

W LUBLINIE

Filharmonia — 9.02 godz. 19; 10.02 godz. 18 — koncert z cyklu „ESTRADA MŁODYCH”. Wykonawcy: Orkiestra Państwowej Filharmonii Lubelskiej pod dyrekcją Ryszarda Komorowskiego, Marek Szpakiewicz — wiolonczela, Agnieszka Szulc — fortepian. W programie: T. Baird — Colas Breugnon, P. Czajkowski — Wariacje „Rococo”, F. Chopin — Fantazja polska, C. Franck — Wariacje symfoniczne na fortepian i orkiestrę.

WYSTAWY

W LUBLINIE

Muzeum im. J. Czechowicza — wystawa Małgorzaty Żurakowskiej: Mezzotinta.

Zamek Lubelski — wystawa pt. „Hej koleda, koleda...” (zmówie zwyczaj ludowe).

Galeria NOVA (ul. Grodzka 5) — wystawa prac Jerzego Kostki.

Dworek Wincentego Pola — wystawa pt. „Wincenty Pol i Ludwik Zejszner — pierwszy profesorowie nauk o Ziemi Uniwersytetu Jagiellońskiego”.

Filharmonia (foyer) — wystawa grafiki Henryka Długosza.

Galeria TPSP (ul. Grodzka 32/34) — wystawa malarstwa Jana Ziemskiego.

W BIAŁEJ PODLASKIEJ

Galeria Sztuki — 9.02 godz. 17 — otwarcie wystawy malarstwa na szkiele Marka Leszczyńskiego pt. „Madonny”.

W ZAMOŚCIU

BWA — wystawa malarstwa Ryszarda Kalamasza.

OBRONA PRACY DOKTORSKIEJ

DZIEKAN i RADA WYDZIAŁU HUMANISTYCZNEGO UMCS w Lublinie zawiadamiają, że dn. 13 marca 1990 r., o godz. 12.00, w s. 101 Kolegium Humanistycznego, odbędzie się publiczna obrona pracy doktorskiej mgra MARKA RUSZKOWSKIEGO.

Temat pracy: „Składnia prozy Witolda Gombrowicza”.

Promotor: prof. dr hab. Michał Jaworski — WSP Kielce.

Recenzenci: prof. dr hab. Barbara Bartnicka — UW, prof. dr hab. Teresa Skubalanka — UMCS.

Praca została wyłożona do wglądu w Bibliotece Głównej UMCS, ul. Nowotki 11.

500/K

I WIEDENSKI KONKURS LITERACKI IM. MARKA HŁASKI

Korespondencyjny Klub Pisarzy Polskich w Austrii ogłasza „I Wiedenski Konkurs Literacki im. Marka Hłaski”. Konkurs ma charakter otwarty. Pod uwagę będą brane walory artystyczne i oryginalność tematyczna nadesłanych utworów.

Konkurs organizowany jest w dwóch kategoriach: poezji i prozy. Należy przelać zestaw wierszy (do dziesięciu) lub opowiadania (trzy). Każdy utwór winien być opatrzony godłem, zaś w zaklejonej kopercie, opatrzonej tym samym godłem, należy podać: imię, nazwisko i dokładny adres.

Zwycięzcom zostaną przyznane nagrody pieniężne. W dziale prozy: I — 1000 szylingów oraz dwa wyróżnienia po 500 szylingów. W dziale poezji: I — 750 szylingów oraz cztery wyróżnienia po 300 szylingów. Nadesłane teksty będą zamieszczane w wydawanej cyklicznie „Antologii Prozy i Poezji”.

Prace nadsyłać można do 14 czerwca 1990 r. na adres: Korespondencyjny Klub Pisarzy Polskich, Wiedner Hauptstrasse 112/17, 1060 Wien, Austria. Wynik konkursu zostanie ogłoszony w prasie, a nagrody wręczone osobiście (lub pocztą) na specjalnym spotkaniu pod nazwą „Wieczór z literaturą polską” w lipcu br.

OGŁOSZENIA DROBNE

LOKALE
POSZUKUJĘ lokalu 3x3 (ewentualnie piwnica). Motycz, tel. 71-60-01, prosić wewn. 37.

203/G-2
POŚREDNICTWO 77-86-12.

32859/G-4
ROZNE
ANTENY telewizyjne: wyrób, sprzedaż, instalacje ekspresowe. Poczta — pawilon.

154/G-10
NAJTAŃSZA wypożyczalnia kaset wideo, Klub MPiK, Leonarda 18.

788/G
NAUKA
MATEMATYKA — 711-625.

1140/G

LISTY

Dokończenie ze str. 3

ostateczną prezentację i wyjaśnienie motywów leżących u podstaw całej tej tragedii.

Lecz oprócz tego *wszystkiego* jest coś jeszcze. Zaczęła się „moda” na tragedię katyńską. Trudno jest pisać o czymś takim, ale, jak się wydaje, jest to prawda. Nie będzie odkrywczym stwierdzenie, że w dotychczasowej historii naszego czasopiśmiennictwa mieliśmy już kilka takich „mód”. Pomijam tu sprawę wydawnictw książkowych, bowiem jest pracą ogromną przedstawiciele ich wszystkich. Wymienię może tylko kilka, nie siląc się na ich szersze skomentowanie: proza iberamerykańska, proza współczesna (wydawana przez „IW”) czy mody na poszczególnych autorów, ze wspomnę tylko o ostatnich: Stachura, Hłasko, Gombrowicz z pisarzy polskich, Orwell, Huxley z obcych. Tyle o książkach.

W prasie artystyczno-literackiej sprawę tę załatwiali się „świeżymi” przekładami fragmentów różnych niedostępnych na polskim rynku pozycji.

W prasie brukowej, oprócz stałych pozycji, zaczęto umieszczać wszelkiego rodzaju porady (w większości ograniczając się do seksuologicznych), by wreszcie przejść do szerokiej prezentacji aktów ku uciesze gawiedzi i wzrostowi popytu na kolejne numery. Konkretnych przykładów wydaje się, że nie trzeba przedstawiać, jest ich na pęczki.

Na tym wszystkim pojawia się

teraz jakże okrutna w swej wymowie „moda na dramat katyński”. Jak już pisałem, trzeba, by wszystko zostało wyjaśnione i przedstawione wszystkim bez żadnych zniekształceń, jednak czy można to robić w ten sposób? A może rzeczywistość liczy się obecnie tylko zysk czysto materialny? A jeśli nawet, to czy dla jego osiągnięcia trzeba pakować w niemal każde puste miejsce „kolejne odcinki” dramatu katyńskiego, licząc na to, że przecież i tak ludzie kupią wszystko, co tylko będzie miało w tytule słowo „Katyń”?

Wydaje mi się, że nie jest to dobra droga dla ukazania prawdy o tym dramacie. „Lepiej” już chyba pozostawić to puste miejsce na owe „rozbieranki”, efektem których będzie uśmieszek na twarzy zmęczonej gawiedzi, niż przeznaczac je na kolejny odcinek opisujący dramat ludzki. Ta droga chyba nie prowadzi do pogłębienia zrozumienia wagi tego dramatu, a chyba wręcz przeciwnie.

Czy rzeczywistość (bo i taki spóśób „obrony” można podać) względny artystyczne niektórych z drukowanych wspomnień są główną przyczyną ich umieszczania w najprzeróżniejszych gazetkach? Czyż nie jest to fasada, która ma przykrywać o wiele mniej wartościowe względy?

Ostatnio zewsząd słycać głosy, że musimy nauczyć się „robić” pieniądze, że liczy się operatywność i przedsiębiorczość. Dlaczego nie, należy wszystkim życzyć, aby się to udało zrobić. Tylko czy za wszelką cenę — zerując na tak bolesnym dramacie ludzkim?

Ryszard Puciato
Lublin

CZWARTEK

8 LUTEGO

PROGRAM I

9.00 Wiadomości poranne
9.10 Domowe przedszkole
9.35 Teleferie TDC: Kulig
10.15 Kino Teleferii: „Zakochany świat Disneya” (2) — film anim. prod. USA
10.45 „Policjanci z Miami” — odc. pt. „Blues przemytnika” — serial krym. prod. USA
11.30 Domator
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Tele-To — wielki plebiscyt na najlepszy film anim. dla dzieci w 1989 r.
17.15 Teleexpress
17.30 Zolnierście troski — reportaż
17.55 „Poza rok 2000” — film dok. prod. australijskiej
18.25 Magazyn katolicki
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Interpelacje (1)
19.30 Wiadomości
20.05 „Policjanci z Miami” — odc. pt. „Blues przemytnika”
20.55 Interpelacje (2)
21.35 Sport
21.45 Pegaz
22.30 Wiadomości wieczorne
22.45 Jutro w programie

PROGRAM II
17.25 Program dnia
17.30 Film dok.
18.00 Program lokalny
18.30 Program na życzenie
19.30 Zielone kino: „Ekologia owadów”
20.00 Ekspres reporterów (1)
20.30 Studio sport: Puchar Europy w koszykówce mężczyzn (Lech Poznań — Saloniki)
21.15 Ekspres reporterów (2)
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio Teatralne „Dwójki”: Woody Allen — „Bóg”
22.40 Studio sport (2)
23.10—23.15 Komentarz dnia

PIĄTEK

9 LUTEGO

PROGRAM I

9.00 Wiadomości poranne
9.10 Domowe przedszkole
9.35 Teleferie TDC: Kulig
10.15 Kino Teleferii: „Zakochany świat Disneya” (3) — film anim. prod. USA
10.45 „Młody Frankenstein” — film fab. prod. USA
11.45 Domator
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Tele-To — wielki plebiscyt na najlepszy serial fabularny dla dzieci w 1989 r.
17.15 Teleexpress
17.30 Raport — publicystyka międzynarodowa
18.00 „Tryptyk biecki” — odc. 2 — „Witold” — film dok.
18.25 Rzeczospolita samorządna — program public.
18.45 Weekend w „Jedynce”
19.00 Dobranoc
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 Wiadomości
20.05 Akademia filmowa: „Anna Karenina” — film fab. prod. USA
21.45 Sport
21.55 Oferty „Pegaza” — Tele audio-video
22.15 Spór o jutro: Otwarte studio
23.15 Wiadomości wieczorne
23.30 Jutro w programie
23.35 Spór o jutro: Otwarte studio

PROGRAM II
17.25 Program dnia
17.30 Wzroczkowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 O czym się mówi
18.50 Maciej Pietrzyk prezentuje — program rozrywkowy
19.30 Dookoła świata: Północą na Daleki Wschód
20.00 Tele-dziwiątka — przegląd

najciekawszych pozycji regionalnych TV Kraków

20.50 Antyczny świat prof. Krawczuka: Menander
21.30 Panorama dnia
21.45 „Anonimo Veneziano” — film fab. prod. wł.
23.10—23.15 Komentarz dnia

SOBOTA

10 LUTEGO

PROGRAM I

8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie
8.55 Program dnia
9.00 Kino Teleferii: „20000 mil podmorskiej żeglugi” — film fab. prod. USA
11.05 Wiadomości poranne
11.15 „Azjatycka mozaika” (2) — „Pieśni i bębny Sri Lanki” — film dok. prod. franc.
11.45 Bellona
12.15 Laboratorium
12.45 Telewizyjny Teatr Prozy: Erskine Caldwell — „Jenny”
14.35 Życie — magazyn ekologiczny
15.00 Polityka, politycy
15.30 Filmy o miłości: „Niekochana” — prod. pol.
16.45 Flesz — program muzyczny
17.15 Teleexpress
17.30 Premie i premiery
18.30 Butik
19.00 Dobranoc
19.10 Z kamerą wśród zwierząt
19.30 Wiadomości
20.05 „Dawno temu na Dzikim Zachodzie” — film fab. prod. włosko-ameryk.
22.40 Sport
23.00 Tydzień w polityce
23.10 Piknik Country — Mrągowo '89: Mickey Newbury
23.40 Telegazeta i jutro w programie

23.50—1.15 Kino sensacji: „Niebezpieczne zabawy” — prod. ang.

PROGRAM II

13.25 Czas akademicki — Katolicki Nurt Stowarzyszeń Akademickich
13.55 W świecie ciszy — program dla niesłyszących
14.20 Dla młodych widzów: „Jedynka w kółku” — film obycz. prod. ZSRR
15.30 Małe kino: „Quirimba, wyspa szczęśliwa” — film dok.
15.55 Studio sport
16.40 Galeria „Dwójki”
17.05 Powitanie
17.10 Ballada o drodze — program poetycko-muzyczny
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 „Ordonka” — fragm. koncertu
19.30 Alfa i omega — magazyn popularnonaukowy
20.00 Nie tylko muzyka: „Ideal sięgnął bruku” — rzecz o powstaniu styczniowym
21.05 Muzyka i polityka: Szczypanie Kiepur
21.30 Panorama dnia
21.45 Srebrny jubileusz warszawskiego Międzyuczelnianego Chóru Akademickiego
22.45 „Znowu w Brideshead” (6) — serial fab. prod. ang.
23.40—23.45 Komentarz dnia

NIEDZIELA

11 LUTEGO

PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Kino Teleferii: „Riki Tikki Tavi” — film prod. indyjsko-radzieckiej
10.10 Szkoła mistrzów — Radosław Piwowarski
10.30 Wiadomości poranne
10.35 Artyści dla Rzeczypospolitej — postscriptum
11.25 Kraj za miastem
11.55 Telewizyjny koncert życzeń
12.40 Teatr dla Dzieci: Krystyna Wodnicka — „Przedziwna opowieść o Stazyjce i Placydzie”
13.35 Sportowa niedziela
14.15 Świat umykający (1) — problemy współczesnej cywilizacji

14.45 Pieprz i wanilia: Z wiatrem przez świat — „Tam, gdzie rosną eukaliptusy”

15.35 „Panna dziedziczka” (39) — serial fab. prod. brazyl.
17.15 Teleexpress
17.30 Antena
17.50 Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej: Irena Santor
18.45 Morze — magazyn public.
19.00 Wieczorynka
19.30 Wiadomości
20.05 „Dekalog, dziesięć” — ostatni z cyklu filmów Krzysztofa Kieślowskiego
21.10 Siedem dni: Świat
21.40 Sport
22.20 Filmy Józefa Blichowicza
23.10 Jutro w programie

PROGRAM II

9.40 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)
10.15 „Dekalog, dziesięć” — ostatni z cyklu filmów Krzysztofa Kieślowskiego (dla niesłyszących)
11.15 Peryskop
11.45 Jutro poniedziałek
12.15 Powitanie
12.20 Polska Kronika Filmowa
12.30 100 pytań do...
13.10 Maciej Niesiołowski: Z batutą i z humorem
13.25 „Polacy” — film dok.
14.15 Kino rodzinne: „Bajarz” — odc. 7 pt. „Zolnierz i śmierć” — serial prod. ang.
14.40 Podróże w czasie i przestrzeni: „Ludzie fok” (1) — „Eskimoska zima” — film dok. prod. kanad.
15.30 Powrót do ziemi ojców — reportaż Aliny Czerniakowskiej
16.10 Biografie: „Burgess o D. H. Lawrence” — film dok. prod. ang.
17.10 Studio sport
17.30 Bliżej świata
19.00 Wywiady Ireny Dziedzic
19.30 Galeria „Dwójki”: Adam Myjak w Bochum
20.00 Studio sport
21.00 Jaka telewizja... (1) — program rozrywkowy
21.30 Panorama dnia
21.45 Jaka telewizja... (2)
22.15 „Stolik u Cira” — film fab. prod. ang.
23.05 Akademia wiersza: „Słowiki” Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego
23.10—23.15 Komentarz dnia

PONIEDZIAŁEK

12 LUTEGO

PROGRAM I

16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Luz — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Gorące linie
17.55 Wędrowki dalekie i bliskie: „W stronę Prousta” — film dok. prod. belgijskiej
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 W Sejmie i Senacie
19.30 Wiadomości
20.05 Teatr Telewizji: Nasza klasyka: Gabriela Zapolska — „Ich czworo”
21.35 Sport
21.45 Kontrapunkt
22.15 Wiadomości wieczorne
22.30 XXXI Międzynarodowy Festiwal Muzyki Jazzowej: Jazz Jamboree '89

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna — polszczyzna
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 „Zmagania o Polskę” (6) — „Jasna przyszłość” — serial dok. prod. ang.
19.30 Życie muzyczne
20.00 Auto-Moto-Fan-Klub
20.30 Studio Hi-Fi
21.30 Panorama dnia
21.45 „Heimat” — serial obycz. prod. RFN
22.45 Komentarz dnia

WTOREK

13 LUTEGO

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiadomości poranne
9.25 „Kir Royal — z życia reportera kroniki towarzyskiej” (3)
10.20 Domator
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Dla dzieci: Tik-Tak
16.50 Kino Tik-Taka: „Opowieść byczka” — serial prod. japońsko-holenderskiej
17.15 Teleexpress
17.30 Spojrzenia
17.55 Klinika Zdrowego Człowieka
18.15 Business — program public.
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Od A do Z — program public.
19.30 Wiadomości
20.15 „Kir Royal — z życia reportera kroniki towarzyskiej” (3) — „A plebs nie widzi” — serial prod. RFN
21.15 Sport
21.25 Zawsze po 21-szej
22.05 Kinomania
22.45 Wiadomości wieczorne

PROGRAM II
17.25 Program dnia
17.30 Klub ludzi z przeszłością
18.00 Program lokalny
18.30 Modlitwa wieczorna
18.50 Program public.
19.30 Kolorowy zawrót głowy
20.00 Non stop kolor
21.00 „W kręgu sztuki” — „Wielcy fotograficy — Jeanloup Siefert” — serial dok. prod. wł.
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio im. Karola Irzykowskiego: „Koniec” — film fab. prod. pol. Reż. Bogusław Linda
22.30 Komentarz dnia

ŚRODA

14 LUTEGO

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiadomości poranne
9.25 „Wśród ciemności” — film obyczajowy
10.50 Domator
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Latający holender — Klub Zdobywców Oceanów
16.50 Dla dzieci: Trąba
17.15 Teleexpress
17.30 Sensacje XX w.: Tajemnica pustyni Negev (1)
17.55 Telewizyjny informator wydawniczy
18.15 Dawniej niż wczoraj
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Plus — minus — program public.
19.30 Wiadomości
20.05 Akademia filmowa: „Czyste niebo” — film fab. prod. ZSRR
22.00 Sport
22.10 Program public.
22.40 Wiadomości wieczorne
22.55 Wódka, pozwól żyć...

PROGRAM II
17.25 Program dnia
17.30 ABC — teleturniej językowy
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Magazyn „102”
19.00 „Pokój niżej” (6) — „Nowa ramówka” — serial prod. ang.
19.30 Salony potyczki — Spotkanie z A. Brychtem
20.00 Czarno na białym — przegląd PKF
20.40 Przegląd muzyczny
21.00 Ze wszystkich stron: „Najbogatsza” — reportaż
21.30 Panorama dnia
21.45 Telewizja nocą
22.30 „Wyznania hochsztaplera Feliksa Krulla” (2) — serial prod. RFN
23.30 Komentarz dnia
23.55 Ekspres gospodarczy

relacje



ADRES REDAKCJI
20-029 LUBLIN, UL. M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ 2
20-950 LUBLIN, SKR. POCZT. 231



TELEFONY
• 215-57 • SEKRETARIAT RED. NACZELNY
• 205-34 • SEKRETARZE REDAKCJI
• 202-91 • 208-59 • 233-88 • DZIENNIKARZE

ZESPÓŁ

EWA CZERWIŃSKA (II SEKRETARZ REDAKCJI) • MIROSLAW DERECKI • TERESA DRAS (REDAKTOR TECHNICZNY)
ZBIGNIEW DZIECIOŁEK • WIESŁAW HORABIK • VIOLETTA KRASNOWSKA • HENRYK PAJAK • ANDRZEJ W. PAWLUCZUK
WALDEMAR PIASECKI • FRANCISZEK PIĄTKOWSKI (REDAKTOR NACZELNY) • MACIEJ PODGÓRSKI (SEKRETARZ
REDAKCJI) • WALDEMAR STĘPIEN (FOTOREPORTER) • LESZEK WISNIEWSKI (Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO)
IZABELLA WLAZŁOWSKA (WSPÓŁPRACOWNICZKA) • MICHAŁ ZIELIŃSKI • JANUSZ WRONA (GRABER) • KRZYSZTOF LAMCHA
(KORREKTOR) • BARBARA CABAN (KORREKTOR) • BARBARA JASTRZĘBSKA • TERESA STERLUS (SEKRETARIAT) • ANNA
WOJCIWICZ (TRANSPORT) • GRZEGORZ BORZĘCKI

WYDAWCA

Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”

DRUK

Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.

Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędy pocztowe. Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0660-8830.

AD VOCEM

NOWELIZACJA

WPROWADZANIE zmian do obowiązujących przepisów prawnych, czyli właśnie ich nowelizacja, jest głównym zajęciem, któremu z niesłabnącą pasją oddają się obecny Sejm i Senat. Samo pojęcie łączy się jednak z prowadzącą działalnością rzymskiego cesarza Justyniana (482—565 r. n.e.). Uporządkował on obowiązujące wówczas prawo, a liczne zmiany wprowadził ustawami o nazwie „Novellae leges” (nowe ustawy). Stąd też nowe i nowelizacja prawa.

Starożytni nie dążyli jednak do tak częstych jak dzisiaj zmian w prawie. Jego stabilność uważali za ostoję porządku państwowego i społecznego, a mnogość coraz to nowych ustaw za oznakę nieładu. Tak właśnie Tacyt z niechęcią wyraża się o ustawodawczych projektach, które — jak pisze „często gwałtem wnoszono wśród niezgody stanów w celu osiągnięcia niedozwolonych zaszczytów albo wygnania sławnych mężów, jako też dla innych źródeł pobudek [...]”. I tak, przy największym państwie nierządnie najliczniejsze były ustawy” (Annales 3, 27; tłum. S. Haimmer). Coś z tej atmosfery można zaobserwować i w dzisiejszym (r)ewolucyjnym ustawodawstwie.

Niechęć do zmiany prawa widoczna była również u Greków. Arystoteles uważał, że jeśli istniejące prawo wymienia się łatwo na nowe, to osłabia się tylko jego moc. Z kolei ateński prawodawca Solon po nadaniu praw obywatelom Aten przyjął podobno od nich przysięgę, że nie będą ich zmieniać. Innemu władcy greckiemu (Charondasowi) przypisuje natomiast Diodor Sycylijski (grecki historyk z I w. p.n.e.) postanowienie, że obywatel, który wnosil projekt zmiany przepisów prawa, wkładał na czas głosowania wniosek głowę w petle na szubienicy i jeżeli projekt upadł, był natychmiast wieszany. No cóż... u nas pewnie zabrakłoby sznurka.

Arcus M.

W NASTĘPNYM
NUMERZE
OPUBLIKUJEMY:

✦ L. KACZYŃSKI O WALEŚCIE DLA „RELACJI” ✦
DEKALOG SAMORZĄDNOŚCI ✦ NOCNY PATROL ✦ NARODZINY POLICJI PAŃSTWOWEJ ✦
„ŁUPASZKO” ✦ WOLNOŚĆ PO RUMUŃSKU ✦
✦ AMAZONKI POD HRUBIESZOWEM? ✦ HOROSKOP JAPOŃSKI ✦ PROGRAM TV

LISTY

SZANOWNE PANIE I PANOWIE!

Zwracam się szczególnie do 38 proc. „Milczącego Środka”. To Wy nie strajkujecie, żądając tylko pieniędzy, nie dając wiele w zamian.

Do Was, którzy zachowaliście zdrowy rozsądek i wykazaliście wielką kulturę polityczną, nie ulegając demagogii i awanturze politycznej sprzed 5 czerwca 1989 r.

To Wy dokonaliście wyboru. nie głosując, pokazaliście, że potraficie samodzielnie myśleć, że brzydzicie się kłamstwem, chamstwem i fałszem.

To Wy stanowicie sól tej ziemi, będąc skromni, uczciwi, pracowici, nie rozpychacie się łokciami, a jednocześnie reprezentujecie ogromny potencjał intelektualny i moralny.

To Wy zachowaliście w sobie człowieczeństwo, widząc w innym bliźszego, mając zasady moralne i normalną ludzką życzliwość, której tak wielki brak w naszym domu — Ojczyźnie.

To Wy najprawdopodobniej macie największą szansę wygrać następne w pełni demokratyczne wybory, gdyż gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta.

To Wy powinniście być kapitanem tego tonącego okrętu, któremu na imię Polska.

To Wam nie są potrzebne ani nagrody Nobla, ani nagrody Leninowskie, ani śniadania z Zachodem i Wschodem.

To nie Wy pozwalacie się upokarzać za granicą za kilka zielonych papierków.

Ale:

To Wy chcecie budować Ojczyznę Dom w pocie, trudzie i mozołe dla siebie, swoich dzieci, swoich wnuków, bez awantur ulicznych i fabrycznych, bez opluwania się wzajemnie, lecz w spokoju, wzajemnej życzliwości i uczciwości.

To Wy musicie powiedzieć DOŚĆ! Ponieważ:

To Wy jesteście zdrowi moralnie, to Wy brzydzicie się chamstwem, zł-

APEL DO
MILCZĄCEGO
ŚRODKA

dziejstwem, kumoterstwem, bo to Wy robicie to, co mówicie.

To nie Wy depreczecie bez skrupulów innych. nie licząc się z dobrem Naszego Wspólnego Domu i innych w nim mieszkających.

Dlatego czas już ostateczny, aby stworzyć Wielki Ruch Społeczny „MILCZĄCY ŚRODEK” — stanowiący największą siłę 38 proc. dorosłej części społeczeństwa.

Ruch, który wykorzystując ogromny potencjał moralny, intelektualny i umiłowanie Ojczyzny, jest w stanie wykorzystać go dla jej rozwoju i dobra.

Teraz trochę o mnie:

Nazywam się Jacek Marcin Kwietniewski, mam 44 lata, jestem inżynierem rolnikiem, mam wspaniałą żonę i dzieci: 4-letnią córkę Małgosię i 5-letniego syna Marcinika. Pracuję 24 lata w jednej firmie, studia skończyłem pracując. Mieszkam z rodziną w Lublinie w mieszkaniu M-2 (32 m²). Mój adres: Lublin, ul. Róży Wiatrów 5/53.



Rys. Lucjan Furnaga

Może „Paris Match”, mogą i „Relacje”...

HOROSKOP JAPOŃSKI
-WEDŁUG CHIBA REIKO

LUDZIE Dalekiego Wschodu posiadają swój system zodiakalny, który — w przeciwieństwie do zachodniego — obejmuje symbolami nie 12 miesięcy, ale 12 kolejno następujących po sobie lat. Każdy rok ma swój znak zwierzęcy, który wywodzi się z tradycji starożytnych Chin i Indii:

Pewnego dnia, gdy właśnie rozpoczynał się Nowy Rok, Budda zawezwał do siebie wszystkie zwierzęta świata i obiecał, że tym, które przyjdą oddać mu pokłon, przyzna w nagrodę jeden rok, który będzie odąd nosił imię i cechy właściciela. Spośród wszystkich stworzeń świata pojawiło się tylko dwanaście i przyszły do niego w następującym porządku: szczur, wół, tygrys, zając, smok, waż, koń, owca, małpa, kogut, pies i dzik. Każde z nich otrzymało jeden rok na własność i przydało mu swoje osobiste cechy, odróżniając go w ten sposób od pozostałych.

Zgodnie z wierzeniami japońskimi, ludzie urodzeni w poszczególnych latach tak powstałego cyklu posiadają cechy charakterystyczne zwierzęcia, do którego roku należy. Można w pewnym sensie przepowiedzieć los, przebieg życia osoby według jej znaku zodiakalnego, ocenić zalety i wady, określić charakter, jakie ma talenty i jak ma je spożytkować, jakie są jej ograniczenia. Znając czyjś rok urodzenia, a więc jego „zwierzę”, można powiedzieć, co dobre w nim, a co złe, i określić charakter jego stosunków z ludźmi, życie osobiste, a nawet — w Japonii — karierę polityczną.

Życie każdego dzieli się na trzy kolejne fazy, a przebieg każdej z nich jest ściśle określony, i wróżbicy japońscy mówią, że są w stanie określić wydarzenia w każdej z faz oraz doradzić, jakich wyborów dokonywać, aby uniknąć złego obrotu wydarzeń. Ze znaków zodiaku można także wnioskować, które zwierzę może stać obok którego, a zatem — jakich partnerów życiowych wybierać.

Porządek, w jakim pojawiają się zwierzęta w cyklu, jest oczywiście niezmienny i przedstawia się następująco:

Tabela znaków i lat urodzin

Szczur: 1900, 1912, 1924, 1936, 1948, 1960, 1972, 1984, 1996

Wół: 1901, 1913, 1925, 1937, 1949, 1961, 1973, 1985, 1997

Tygrys: 1902, 1914, 1926, 1938, 1950, 1962, 1974, 1986, 1998

Zając: 1903, 1915, 1927, 1939, 1951, 1963, 1975, 1987, 1999

Smok: 1904, 1916, 1928, 1940, 1952, 1964, 1976, 1988, 2000

Waż: 1905, 1917, 1929, 1941, 1953, 1965, 1977, 1989

Koń: 1906, 1918, 1930, 1942, 1954, 1966, 1978, 1990

Owca: 1907, 1919, 1931, 1943, 1955, 1967, 1979, 1991

Małpa: 1908, 1920, 1932, 1944, 1956, 1968, 1980, 1992

Kogut: 1909, 1921, 1933, 1945, 1957, 1969, 1981, 1993

Pies: 1910, 1922, 1934, 1946, 1958, 1970, 1982, 1994

Dzik: 1911, 1923, 1935, 1947, 1959, 1971, 1983, 1995

ROK SZCZURA

Człowiek urodzony w roku Szczura zwraca uwagę swoim wdziękiem, jest jednak drobniutki i ma skłonność do skąpstwa. Kiedy czegoś bardzo pragnie, jest w stanie znieść wiele trudu, aby dopiąć swego. Jego oszczędność pozwala mu na zgromadzenie wielkich zasobów. Niestety, zdarza

mu się stracić wszystko wówczas, gdy zakochuje się nagle i kiedy wydaje wszystko co posiada dla osoby, która często tego uczucia nie odwzajemnia. Może to brzmieć dziwnie, ale tylko miłość skłania go do szczodrości.

Człowiek z roku Szczura zachowuje pozory wielkiej samokontroli, a przecież łatwo wprowadzić go w gniew. Wartość jego jednak polega na tym, że potrafi utrzymać w korbach własne niezadowolone lub gniew.

Nie jest wielką umysłowością, ale to człowiek ambitny i w niezwykły sposób zdolny do podążania wytyczoną przez siebie drogą do końca.

Uwielbia wydawać pieniądze na samego siebie, niczego sobie nie odmawiając, ale nigdy nie pożycza innym.

Lubi plotkować i jest to cecha, dla której jego przyjaźnie bywają krótkotrwałe.

W pierwszej fazie życia będzie mu się wiodło, w drugiej jednak straci wszystko, co posiadał, wskutek złe rozumianej szansy lub druzgocącej historii miłosnej. W późniejszej fazie życia będzie mu się żyło dobrze i wygodnie.

Dobrze robi, zawierając związek małżeński z kimś urodzonym w roku Smoka, Małpy lub Wołu, ponieważ będą to partnerzy o dobrze dostosowanym temperamentem. Następny godny polecenia wybór to osoba z roku Szczura, Tygrysa, Weża, Psa lub Dzika. Nie powinien wiązać się z kimś z roku Konia. Mężczyzna urodzony w roku Szczura popełniłby błąd niebezpieczny, gdyby się związał z kobietą z roku tzw. Ognistego Konia, który się powtarza co sześćdziesiąt lat (ostatni taki był w 1986). Przesąd mówi, że mężczyzna biorący taką kobietę za żonę nie przeżywa całego życia pisane go mu na ziemi.

(cdn.)

Kimi